



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Niebogata, a nawet uboga gałąź literatury naszej zyskała w tym roku dwie bardzo dobre książki—książki do czytania dla młodzieży. Jedną z nich: *Księżniczka*, przez Zofią Urbanowską, jest powieścią, która otrzymała nagrodę na konkursie imienia Pauliny Kraków: czytelnik więc biorąc ją do ręki,—wie już z wczasu, że musi to być rzecz wartości wyższej, a żywość pióra autorki, talent jej w oddaniu rozgrywającego się tu dramatu życia, tak go zapewne przykuje do książki, że gruby tom (376 str. in 8-o) nie wyda mu się zadługim. Treścią powieści są losy młodej panny z rodziny niebogatej, która przecież, utrzymawszy się przy resztkach większego niegdys majątku, nie zmienia dawnego trybu życia, dawnych nawyknień—nie poprawia się z wad dawnych, prowadzących do ruiny, nawet przy najznaczniejszym majątku. Wskutek tego i córka była źle wychowaną, nieprzygotowaną do pracy na chleb—nieprzygotowaną wogóle do życia na jakimkolwiek szczeblu zamożności, bo lekkomyślnie przeslizgiwanie się po wypadkach, powierzchniowość, leniwe przepędzanie czasu z dnia na dzień, w żadnym położeniu życia, w żadnej klasie towarzyskiej nie przynoszą szczęścia, nie dają tej jego pełni, która mogłaby zwać się pomysłnością.

Ale kryzys majątkowa, sprowadzona przez nieradność, niepracowitość, słabość charakteru ojca, instynktowne poczucie, że jednak trzeba coś przedsięwziąć, aby się wydobyć z niedoli,—budzą w duszy przerażonej dziewczyny energią, ukrytą na dnie jej charakteru. Myśl o biedzie starych już rodziców daje jej odwagę; najpierw

wyrzeczenia się zbytku, potem poszukiwania pracy, przynoszącej zarobek. Silna wola pomaga jej skutecznie: chwytą się pierwszej możliwej sposobności, aby wyjechać do większego miasta, gdzie praca znaleźć się może—do Warszawy, a choć dawniejsze przyzwyczajenia, dawniejsze poglądy na życie spierają się w niej jeszcze z warunkami nowego istnienia, nie mniej nie upada, a nawet zwycięża — zwycięża w walce z własną swoją istotą, a potem w walce z losem. Zapewnia sobie spokojną i szczęśliwą przyszłość, zapewnia ją starości rodziców.

Przedmiot wysoce sympatyczny i przy talentie autorki powieść na nim osnuta jest też bardzo zajmującą, tak zajmującą, jak w naszej literaturze dla młodzieży trudno znaleźć drugiej. Nic w niej niema szablonowego, nic konwencyonalnego,—jak zdarza się bardzo często w książkach tego rodzaju: wszystko świeże, oryginalne, z siłą, i powiedzieć można, wypukłe przedstawione. Aby przecież książka ta przyniosła społeczeństwu korzyść, jaką autorka miała niewątpliwie na celu a nawet, aby przez zmaczenie pojęć moralnych nie spowodowała raczej szkody, niż pożytku, potrzebnem jest jedno zastrzeżenie.

Nie jest ona dla dziewczynek dorastających, ale dla panien w tej chwili życia, gdy już dorosłymi się stały, i wstępują w świat na własny rachunek z Bogiem i ludźmi, na własną wygraną lub przegraną życia.

W tym wieku właśnie jest Helena Orecka, bohaterka powieści — w tym wieku, który o życiu tyle już wie, tyle już rozumować potrafi, że nie będzie uogólniał sobie położeń przedstawionych mu w książce. Szkopułem powieści, w znaczeniu pedagogicznym, jest nędra moralna, jest niemożliwość rodziców Heleny—ich lekkomyślność, ponad które-to wady podnosi się córka, nauczona właśnie przez ich przykład bolesny, do czego-to prowadzi życie pędzone leniwie, bez energii i celu innego prócz zabawy i przyjemności—życie rządzące się,

nie zasadą, ale wrażeniami. Nauka-to bardzo smutna, bardzo przykra—nauka powstała z krytyki rodziców przez dzieci, i byłaby rzeczywiście w wysokim stopniu niepedagogiczną, gdyby tuż zaraz, jako przeciwstawienie cieniem tamtego obrazu, nie było innych rodziców, rozumnych, i w znaczeniu uszczęśliwienia dzieci przez dawane im wychowanie, dobrych rodziców. Czytelnik już niemałoletni zrozumie to, i majestatu rodzicielskiego przez to nie poniży; czytelnik niemałoletni powie sobie, że gdzie jest ruina, tam musi być i jej powód jakiś—jakieś podkopanie nieszczęsne naszego dobrobytu, naszego bogactwa dawnego, które pada w gruzy. Ze takich ruin jest mnóstwo, że słyhać ustawicznie ich walenia się łaskoty, tkwi zatem w obyczajach naszych społecznych coś wadliwego, co usunąć z nich trzeba i taka reflexya, nie gorsząc nikogo, powinna tylko dopomóc do zastanowienia się nad chwilą czasu, w której żyjemy. Nie jest rzeczą złą, jeżeli myśli podobne staną przed nami wtedy właśnie, gdy młode życie, używania pragnąc, rwie się do świata, do ludzi. Ale nie dzieciom daje się takie rzeczy do czytania, bo nie dzieci tworzą obyczaje, nie dzieci obierają sobie kierunki życia. Gdy przyjdzie ich czas, przyjdzie i na nie wiedza dobrego i złego — rzecz ciężka: zaciężka na zbyt młode barki.

Książka jest zgoła niedziecinna, bo do krytyki naszych stosunków społecznych dodaje i krytykę narodową, malując nasze wady, przeciwstawia nam Niemców; wykazuje jak z tych wad korzystać oni umieją, jak zajmują chciwie każde miejsce, które nasza nieogłębność, nasze leniwość niezajątem zostawia.

Ale jestto książka bardzo dobra, książka szlachetnych nauk dla kobiety, która już stanęła do pracy życia. Znajdują się tam pewne rysy zaostre, pewna bezwzględność surowa, która o zlagodzenie się prosi: naprzykład, z profilu tylko

ukazana sylwetka matki, p. Oreckiej, próżnej, słabej, samolubnej kobiety, która nigdy nie okazuje żadnego drgnięcia serca dla męża, dla córki, prócz troskliwych myśli o jej toalety, o jej świetne pójście za męża. Ale za to jakie tam są piękne rzeczy odnośnie do sprawy ogólnej, do pojęcia obowiązku obywatelskiego — jakie tam są naprzykład rzeczy piękne, tłumaczące, co to jest zjednoczenie się ze społeczeństwem swoim (str. 169)!

„— Zastanawiałam się nad słowami pana o zjednoczeniu się ze społeczeństwem — mówiła Helena, podnosząc na Andrzeja swoje wielkie szafirowe oczy, pełne niepokoju — czyż czuć dlań miłość, nie jest już zjednoczeniem? Kocham mój kraj...”

„— Kochasz go pani?...”

„— Pani! — zawołała — samo to pytanie już jest obelgą...”

Ale Andrzej tłumaczy jej dlaczego powziął wątpliwość pod tym względem. Uważał, co czytywała — widział jak raz, biorąc w rękę gazety, pominęła obojętne wiadomości krajowe, bardzo wysokiego znaczenia, jak dalej postąpiła tak samo z wykazem, ile-to dóbr naszego kraju przeszło w cudze ręce, — a oczy szukały tylko felietonu i utonęły w nim z rozkoszą. „Wstrzymywałem się jednak z sądem moim o pani — dodał Andrzej — czekałem, co będzie dalej. Pani po skończeniu gazety przeczytałaś felietony w dwóch Kurierach, felieton w „Tygodniku Ilustrowanym“, w „Kłosach“, w „Bluszczu“, jeden krótki poemacik także, i na tem skończyłaś czytanie. Wówczas powiedziałem sobie: w tej młodej piersi niema ani odrobiny miłości dla kraju, bo najważniejsze interesa narodowe są jej zupełnie obojętne. Nie kocha ogółu swego ten, kto nie ma w sobie poczucie obywatelskich i w czyjej krwi nie drgają tętna jego.”

Helena stanęła blada jak śmierć, słysząc te słowa surowego dla niej młodzieńca. W tej chwili nienawidziła go: nienawidziła go namiętnie, ale on-to był, którego potem pokochała tak samo — sercem, duszą, istotą swą całą.

Do bardzo pięknych postaci kobiecych książki należy siostra Andrzeja, Wanda, która kochała raz tylko w życiu i po daleko zmarłym narzeczonym nie zdjęła nigdy żałoby. Ale ta samotna nie była przecież wiecznie rozplakana, samolubnie w boleści swojej zamknięta, nie... Pracowała, łączyła się czynnie z pracowitym ruchem życia innych ludzi — była użyteczną i szanowaną. Gdy przeciw Helenka, słysząc historią jej smutnego życia, zawołała żałośnie: — „Ach jak to ciężko pomyśleć, że jakieś życie tak zostaje zmarnowanym“... Andrzej, który i wtedy przy niej był, odpowiedział jej na to wierszem Henryka Merzbacha, napisanym dla Kraszewskiego:

„Nic nie ginie, mistrzu, na tym świecie Bożym,
Każda potu kropla, co ze skroni spada,
Każda łza, przez którą boleści się korzym,
Rany krew czerwona, zwątpienia myśl błada
I ten strumień tęsknot, co przez życie płynie,
I ciche westchnienie — nic, mistrzu nie ginie...”

Tylko w lekkomyślności, w próżnowaniu leniwem, w wegetowaniu bezużytecznem życie topi się, jak w otchłani — topi się i przepada; Helena Orecka prawdę tę uznaje, chce być i jest dzielną, energiczną, kobietą, pełną poświęcenia córką dla rodziców. Jest tu może trochę szarzy, zwłaszcza w zdobywaniu dowodów prawnych, aktów hypoteczných, na co młodzieńca dziewczyna rzuca się prawie intuicyjnie na mocy kilku wyrazów, zasłyszanych przypadkiem. Ale zato jak pięknem, jak rzeczywiście dzielnym jest jej odważne i dumne przebywanie wśród nocy wezbranej rzeki, jej nocleg na berlinie; jak wzruszającym rysem przy tej mężkiej rzutkości jest jej posilanie się chlebem i herbata, a zachowywanie dla rodziców pieczonej kuropatwy, wina i pomarańczy z Warszawy więzionej! Tu Helena jest znowu młodą, uczuciową dziewczyną, słodką i miłą, która pamięta o drobnych potrzebach i zdrowiu starych rodziców. Ojciec, stary szlachcic niedołęga, ma też pewne pociągające ku niemu rysy

dobroci serca; paradna jest scena, gdy, korzystając z zostawionych przez żonę kluczyków od spiżarnianej szafy, kradnie z niej jabłko, aby je dać ukradkiem żydowskiemu dzieciom, sprowadzonym ze zgłiszcz spalonego ich domowstwa. Cała ta scenka bardzo ładna, i jakgdyby z życia malowana ze wszystkimi swemi szczegółami — z tą służbą wiejską, która małym biedakom od żydząków wymyśla, a potem im dziesiątki w rękę wtyka.

Lecz piękniejszym o wiele, patetycznym mimo rodzajowego traktowania jest obraz licytacji, na której po kilku już latach matka tych biednych bachorków — brzydka, brudna, rozczarowana handlarka zapałek i starych rzeczy, zjawia się znowu, biega od jednego do drugiego ze współwyznawców swoich i zaperzona coś im prawi w szwargocie niezrozumiałym dla tłumu, który patrzy potem zadziwiony, że daremnie komornik wywołuje potężnym głosem ceny przedmiotów na sprzedaż wystawionych, a nikt — żaden z przybyłych na licytację żydów, nic nie odpowiada. Jeden tylko młody kupiec, któremu wpadła w oko stara biblioteczna szafa p. Marcina Oreckiego, bąknął coś niesmiałym głosem, ale Moškowa, w heroicznym już ferworze, uderzyła go pięścią w plecy. — A ty łajdak... ty gałgan! zamknij ty gębę!... — zawołała nakazująco i postawiła na swoim

Książka p. Zofii Urbanowskiej jest mimo pewnych błędów piękną, szlachetnych dążności książką, wartą czytania. Wyszła nakładem Gebethnera i Wolffa.

Druga, świeżo wydana przez księgarza Hosicka książka: *Kopciuszek*, znanego pióra Jadwigi Teresy, jest bardzo treścią do poprzedniej zbliżona, bo także przedstawia młodą dziewczynę, która staje się odważnie opiekunką, nie już rodziców starych, ale rodzeństwa małego, na które pracuje i z poświęceniem osoby własnej wychowuje. Tam jest *Księżniczka*, bo tam jest piękność, blask, akcja pełna dramatyczności; tu *Kopciuszek*, bo tu mamy przed sobą tylko poświęcenie ciche talentu i przyszłości, która może byłaby też bardziej romantyczną i barwną, gdyby miłość rodzeństwa, szlachetne pojęcie rodzinnego obowiązku nie wiązało skrzydeł artystki. Tu rzecz trzymana jest w tonie skromniejszym, wstrzeźliwszym; autorka pilnuje się ściśle warunków pedagogicznych, a całość wychodzi bardzo miło, czyta się do końca z zajęciem. *Kopciuszek* jest może najlepszym z utworów Jadwigi Teresy. Każda z panienek, której się na podarek świąteczny dostanie, otrzyma dar dobry z jasnym promykiem tej *Gwiazdki*, która świeci skromnej, łagodnej, uczuciowej kobiecości, według naszego rodzimego jej typu.

Wracając do *Księżniczki*, trzeba tu, mimo zalet tej książki, wytknąć jeszcze jeden jej błąd ważny, jakkolwiek zamyka się w kilku słowach, które jednak są dwukrotnie powtórzone, a to, jakoby u nas słabość liczyć się miała niegdyś do zalet kobiety, co dziś dopiero ulega zmianie i siła właśnie jest jej do cnót i zasług policzoną. Jest to bardzo fałszywe przeszłości pojęcie. Nigdy i nigdzie słabość przymiotu nie stanowiła, a u nas szczególnie, gdzie od zarania dziejowego występują, jako ideał narodowy, postacie kobiet bohaterkich, gdzie potem kobieta w osamotnionym często domu stoi mężnie na czele rodziny. Ale zawsze i wszędzie słodycz i łagodność była, jest i będzie kobiecości cechą i przymiotem, który jej nigdy odjętym nie zostanie, bo się w naturze właściwie rozwinętej kobiety zamyka.

Kopciuszek wchodzi w skład *Biblioteki Ilustrowanej dla młodzieży*.

W obu tych książkach kobiecego pióra, język jest dobry i czysty, cudzoziemczyzną nieskażony, co stanowi wielką zasługę, zwłaszcza w książkach dla młodego wieku.

Wyprawa po złote runo, powieść dla młodego wieku, wydana nakładem Hösicka, a należąca też do *Biblioteki Ilustrowanej dla młodzieży*, nie jest z francuzkiego oryginału Lucyana Biart, tłumaczoną, ale przez M. Zielińską dokonaną przeróbką. Rzecz ta, jak wszystkie jej podobne, jest zajmująca, ciekawa, zwłaszcza, jako czytanie chłopców, którym stawia przed oczy obrazy walk i niebezpieczeństw, spotykanych w podróży

przez dziewicze lasy Ameryki Północnej. W przedmowie, napisanej przez redaktorkę *Wieczorów rodzinnych*, M. J. Zalewską, dowiadujemy się, że naśladowczyni, czy wolna tłumaczka, usunęła wszystkie zbyt krwawe i dzikością technące obrazy wypraw na Indian, co nietylko pedagogiczną, ale i moralną wartość powiastki podnosi, bo ohydnie smutną rzeczą są te nieludzkie napaści Europejczyków na nieszczęśliwe ludy krain, zdobywanych niby w imię postępu i cywilizacji europejskiej, a rzeczywistość w imię chciwości i na mocy dzikiego prawa gwałtu. Ponieważ bohaterami, do których przywiązuje się zwykle interes młodych czytelników, są owi napastnicy Europejscy, ludzie *bieli*, więc uczucie moralne krzywi się tu i fałszuje bo według wszelkich praw Boskich i ludzkich sympatya powinna być po stronie uciśnionych i napastowanych — ziemi swojej broniących krajowców. Zmiany zaprowadzone przez tłumaczkę *Wyprawy po złote runo* są też poczciwe i w szlachetnym duchu dokonane. Język dobry, czysty i poprawny.

Ilustrowane wydanie dla dzieci *Klecha Wójcickiego*, było tak dobrym pomysłem p. F. Hösicka że mu w zakresie jego wydawniczej działalności zasługę rzeczywistą zjednywało. Pierwszy zeszyt: *Baśń o Twardowskim*, wyszła bardzo dobrze, ilustracja odznaczała się wybornym, czysto naszym, rodzimym humorem; ale drugi z kolei zeszyt, ilustrujący baśń: *Nędza z Biedą*, już zupełnie był inny, nie nadający się bynajmniej dla dzieci, bo przedstawiał wstrętne ilustracje sceny pijackiej, która byłaby wysoce niepedagogiczną rzeczą, wtedy nawet, gdyby przedstawiała obojętne nam społeczeństwo, a coż dopiero gdy odtwarza ohydny obraz przeszłości naszej! Nikt i nigdzie nie przedstawiał dzieciom wspomnień przeszłości w karykaturze, i karykatura wogóle nie ma nic wspólnego z przeszłością dziejową, a tu rzecz jest przeszkaradna, zwłaszcza za ten pijak opasy, który, w niebo patrząc, ku niebu oczy i ręce wraz z ogromnym kielichem wznosi, gdy inny, chudy, klęczy mu u nóg ze szklanicą. Świętokradztwo to jest najbrzydsze, jakie kiedy oczy moje widziały, i najdroższych uczuć serc naszych dotyka tak boleśnie, że wyrazić to trudno, szczególnie, gdy się pomyśli, że obraz taki ma być podany dzieciom. Baśń sama bynajmniej takiej ilustracji nie wymagała, lecz przeciwnie dawała pole do innej, bo znajduje się w niej następujący opis zabaw wojewody po uczcie: „Wtedy dworzanie dosiadali koni, strzelali z pistoletów do celu, kopykami zdejmowali zawieszzone pierścienie, a pan obdarowywał najrzęczniejszego, to łańcuchem, to puhaorem srebrnym, to dał mu konia z rzędem.”

Co-to za przedmiot wyborny do barwnego, pięknego, silnie zajmującego chłopców obrazka, budzącego w piersiach młodych w sposób najlepszy mężkość ochoczą. Dlaczego pominięto ten temat wdzięczny, aby go zastąpić brzydota wstrętą, a to tem więcej, że przez to baśń sama została zmieniona, skrzywiona najzupełniej w moralnej swej treści? Wprawdzie jest w niej ten szczegół, że p. wojewoda wstawał od uczty z zarumienionymi policzkami, że i dworzanie mieli twarze czerwienne, niż zwykle, ale tacy pijacy, jakich ilustracja przedstawia: z których jeden u drugiego stołu, już spi, blizki za sąsiad wojewody jest tak nieprzytomny, że mu się kielich w rękę przechyla, a głowa ku piersiom opada — czyżby mogłoby do celu strzelać, do pierścienia konno gonić? Baśń więc jest w charakterystyce swej moralnej zmieniona, jest niewiernie przez ilustracją odaną, która też musi być z książki wydartą, zamazaną, czy zaklejoną, jeżeli *Biblioteczka obrazkowa dla dzieci*, zawierająca sześć ilustrowanych baśni, ma być do rąk dzieciennych podaną. Inaczej *gwiazdka*, niosąca im w darze takie brzydoty, takie wstrętne obrazy przeszłości, którą dziecko najpierw w cnotach jej ukochać powinno, byłaby gwiazdą złowrogą i zniszczenie szlachetnych uczuć niosącą. Cztery inne baśni: *Boruta*, *Madey*, *Uroczone oczy*, *Gorejące palce*, mają ilustracje wcale ładne, w Borucie zwłaszcza, i tam nawet ten szlachcic, który dyabłu drzwi pokazuje, jest wspaniały, a dyabeł ów w czerwonym kontuszu, w butach z ostrogami, paradny! Baśń o *Gorejących palcach* jest też, jako text, niedobrze dobrana i ma-

ło pedagogiczną — szkoda to ogromna, że dobre to wydawnictwo z większą uwagą prowadzonym nie jest.

Dwie książeczki dla małych i nieco starszych dzieci: *Z życia małych dzieci* i *Nasi znajomi*, przez Z. Morawską, są to rzeczy dobre, napisane językiem czystym, z odpowiednią tendencją moralną. Tylko w pierwszej z nich stanowi niemiły wyjątek obrazek i za nim powiastka: *Zimna kąpiel*. Obrazek jest bardzo nieładny: ten brzydki, nienaturalnie przedłużony nagus, którego dwie imoście do wody pakują, zdaje się przedstawiać ofiarę jakiejś średniowiecznej tortury, i czy taka energiczna metoda odczucia dzieci od kaprysów jest dla ich zdrowia dobrą? — trzeba spytać o to lekarza. Mnie się zdaje, że daleko racjonalniej jest dzieci do rozgrymaszenia nie dopuszczać, niż potem takich heroicznych środków edukacyjnych używać. Hygieniczne obmycie, lub nawet zanurzenie w zimnej wodzie, chyba też inaczej przeprowadzać trzeba. — Wydanie porządne, Gebethnera i Wolffa.

Do bardzo miłych nabytków, który tegoroczna gwiazdka dzieciom przynosi, jest wydanie drugiej książki przez nieżyjącego już autora, Jana Checińskiego, napisanej, a ładnymi ilustracjami Juliusza Kossaka ozdobionej: *Dzień grzecznego Władzia*. Cała ta książka pisana jest wierszem, bardzo miłym i zręcznym, a moralność owych ładnych wierszyków, które nieraz poezijkami nazwać można, wskroś uczciwa i swojska. Ilustracji jest 12-cie. Wydanie ładne, Gebethnera i Wolffa.

Przypomnieć tu należy tym, którzy dobrą gwiazdkę dzieciom swoim dać pragną, książki wyborne, zwłaszcza dla chłopców, w przerobieniu ich przez Laskarysa: *Pamiętniki Pana Paska*, będące jedną z najpiękniejszych rzeczy naszej pamiętnikowej literatury i obrazki z *Pamiętników starego szlachcica*. W tym roku same kobiece pióra złożyły się na książki kolendowe, nic też oryginalnego dla chłopców niema, ale nie szkoda — to jeszcze, jeżeli owe dwie, wyżej wspomniane, wyborne książki, jeszcze wyczerpane nie są. Rzeczy lepszych, odpowiedniejszych dla młodzi męskiej, literatura nasza nie posiada.

(Dokończenie nastąpi).

STARA PLEBANIA.

Znam jedno, ciche spokojne ustronie:
Starą plebanię pośród drzew zielonych,
Jak małe gniazdko, w zaroślach ukryte.
Gdy całą wioskę wiatr zimny owionie,
Gdy z dzikim pędem huragan przez błonie
Leci, unosząc w podskokach szalonych
Tumany kurzu, w drobny pył rozbite;

Gdy dziwny przestrach rozsiewa dokoła
Świszcząc i wyjąc na złowieszczą nutę:
Tam jakieś błogie dochodzą odgłosy,
Tam zawsze lepiej, pod murem kościoła,
I nikt z mieszkańców nie lęka się zgłola
Złowieszczych duchów, które za pokutę
Błądzą po świecie, skarżąc się na losy!

Tam zawsze spokój; z bluźnierstwem rozpaczy
Nikt tam do niebios nie wyciąga dłoni
I nikt nie wątpi, nie pyta zuchwale:
Jaki cel długiej wędrówki tułaczey
Bóg — czy los wreszcie — Ludzkości przeznaczy?
Nikt sił nie traci w daremnej pogoni,
W daremnej walce i daremnym szale!

Tam nikt nie szuka nowych dróg Ludzkości,
Bo każdy swoją wyraźnie i jasno
Widzi przed sobą, stojącą otworem:
Drogę poświęceń i drogę miłości;

A choć mu w domu nieszczęście zagości,
To na ofiarę odda wolę własną
I cierpi chętnie za Chrystusa wzorem.

Ja nieraz myślę: jaki duch łaskawy
Rozpostarł skrzydła ponad cichym domem
I czuwa nad nim jak troskliwa matka,
By żadne echa walk ludzkich i wrzawy,
Namiętnych pytań i tęsknoty łzawej
Nie przyszły nagle skarg swoich ogromem
Spróchniałe ściany przygnieść do ostatka?...

Lubię ten domek, — przychodzę tu czasem
Orzeźwić w ciszy niespokojną głowę,
Zmęczoną uczuć gwałtownych wybuchem;
A gdy powracam z sił nowych zapasem,
By znów się spotkać z wrzawą i hałasem, —
W uszach mi dzwiczą słowa Chrystusowe:
„Błogosławieni są ubodzy duchem.“

J. J.

ZLAMANA TARCZA.

(Dalszy ciąg).

Stary kniaz czuł się dziwnie wzruszonym. W jego życie, które zdawało się trzymać ziemi już tylko prawem fizycznym, i było jak dzień zwolna dogasający, wplatało się nagle jakieś niespodziewane a szczególne zajęcie — serdeczne współczucie dla nieznanego człowieka, o którym wczoraj jeszcze nie wiedział, że żyje na świecie, a którego teraz czynił domownikiem swoim. — Gdzie ja go tu pomieszczę — rzekł sobie, skoro umowa z Pobogiem stanęła, aż przyszedł mu nagle na myśl stary zamek i pustka nieszczęsna, której już nikt zajęć nie miał. — Dobrze tak będzie — myślał — Bóg może mi go tu zesłał, abym samolubną boleścią nie grzeszył, nie zamknął się w niej pogańsko — i zaczął czynić sobie z tego obowiązek, aby ten jakiś człowiek samotny, który własnego kąta nie miał, ogrzał się u jego ogniska i doznał ludzkiego przyjęcia. Już ani go sam badać nie chciał, ani nawet żonie postanowił nie powtarzać, co mu Pobóg przez dziwne słowa swoje do zrozumienia dał, ale zaprowadził go do niej zaraz, aby przybył, który może całą noc jechał, posilił się śniadaniem. — Pewno wasze jeszcze na czczo — rzekł. Chodź tedy, bo i kniaziowej prezentować ci się trzeba. Nic bez jej woli nie poczynam, i to, żeśmy się ze sobą tak nagle związali, wytłómaczyć jej należy.

— Ale nie bój się waszmość, aby cię miała dla tego krzywo przyjąć — dodał. — O nie... serce jest u niej na wszystkich uczciwych ludzi łaskawe, tylko muszę to waszmości objaśnić, żeś do żalobnego domu wszedł. Jedyńaka syna straciłszy śmiercią okrutną i tajemniczą; matka jeszcze nie przeboleła...

— I nie przeboleje nigdy — dokończył prawie już do siebie i nie uważał, że Pobóg nagle zbliadł. Gdy do jadalnej komnaty wchodzili, gdzie kniaziowa jeszcze się znajdowała, błądźta pobieliła mu znów lice tak, że kniaz Konstanty to spostrzegł. — A dla Boga! — zawołał — waści się jakoś nie dobrze robi... Zgadłem, żeś na czczo jest, i mroz cię przejął.

Sam mu copędzej dał się napić czegoś z apteczki i żonie potem kilku słowami wytłómaczył, jakiego jej gościa prowadzi. — Pan Jan Pobóg, który mi się na pomoc do gospodarstwa ofiarował — rzekł prezentując, a coś mu kazało dobrać słów takich, aby przybyły nie był przez nie dotknięty.

Potem jej się na stronie wytłómaczył z tej nagłej decyzji przyjęcia w dom obcego, choć dotąd nigdy o tem mowy nie było, aby się miał o podstarościego starać. — Moje życie — rzekł — on widać miejsca bardzo potrzebował, a mnie może

lżej z tem będzie, gdy mnie wyręczy, zwłaszcza w stodołach przy omłocie.

Kniazowa nie oponowała, lecz, przeciwnie, była nowo przybytemu na jakiś smutny sposób rada. I ją przybycie jego wzruszyło w sposób niewytłómaczony. Choć był od straconego jej syna o jakie dziesięć lat starszy, zawsze czuła się wzruszoną na tę myśl, że ten człowiek w zimowy czas kąta i przytulenia sobie szukał. — Pewno rodziców niema — rzekła mężowi smutnie.

Zrozumieli się. — Mnie też moje życie, to samo serce poruszyło, gdy mi rzekł, że... że domu niema — odpowiedział kniaz. — I wiesz, zem mu kwaterę obmyślił tam... na zamku.

W matce coś drgnęło, ale potem spuściła głowę. — Dobrze — rzekła — może Bóg za przytulonego tu człowieka, da tam gdzieś choć murawy trochę na mogiłę, gdy przyjdzie wiosna.

Gdy pierwszy śnieg spadł, a ona, z nocy wstawszy, ujrzała ziemię nim zasłaną, jęknęła. Doznawała takiego uczucia, jakgdyby Michasio wi jej mogło być zimno tam, gdzie leżał. Nie mogła sobie rozumem tego wytłómaczyć, że uczucie jej jest nierozsądne. Wiedziała o tem, ale niemniej miała serce w okrutny sposób ściśnięte. Jeżeli ukradkiem, cichaczem, nadzieja nie łudziła jej, myślała wtedy o grobie z tęsknotą bolesną, i teraz powiedziała sobie, że Bóg za przyjęcie obcego, da na wiosnę jakiemu kwiatkowi na tym samotnym grobie kędyś wyrósnąć, i w dziwny sposób wiązała sobie z przybyciem Poboga jakąś myśl o synu straconym.

Polubiła go za to bardzo — tak, jak nigdy nie lubiła obcego, ledwo poznanego człowieka, i stało się to odrazu, skoro go tylko ujrzała. Gdy owego pierwszego ranka za kniazem do komnaty jadalnej wszedł, i blednąc, niebieskie oczy swoje na nią zwrócił — żalodne i razem jakgdyby błagające przebaczenia — przeniknęło ją uczucie dziwne.

— Czy nie od niego — nie od jej syna, od jej Michasia przybywa? — zawołało w niej serce i na zawsze już coś jej wiązało myśl o synu z nowym domownikiem.

I całej służbie, wszystkim ludziom ze wsi przybysz wspomnienie młodego kniazia na myśl przywodził przez to, że w starym zamku mieszkał. Gdy wieczorami świeciło się tam w oknach, ludzie się żegnali — Ach! szepotali — to jakgdyby nieboszczyk powrócił.

A świeciło się tam pierwszej nocy przybycia Poboga do rana samego. Wartownik to zauważył i służbie powiedział. — Co to za jeden, ten podstarość, że, z drogi właśnie przybywszy, całą noc nie spał? Gdy już było po drugim zapieniu kura, wartownik niepokoić się zaczął. — A jak to zbójca jest jaki, co swoich kamratów do siebie wpuści, i potem lochami piwnicznymi, które rozciągały się aż pod dwór nowy, da im się tam wkraść?

Wartownik z miejsca swego na wale się nie ruszył: słuchał i patrzył, ale widział to tylko, że się świeciło do dnia białego.

Przybysz nie mógł na nowem mieszkaniu spać. Że służył pracowicie, jak już nikt lepiej by nie mógł — to wątpliwości nie ulegało. Nawet nad potrzebę czasem jak prosty parobek pracował, aż widać było na nim zmęczenie i po dniu takim już pewno spał, skoro tylko łoża dopadł. A jak pańskiego dobra, pańskiego mienia pilnował! Kiedy raz zapalił się stary lamus, budynek, który już le dwie stał, i nie wiele na co się przydał, on w ogień poprostu skakał, płonące poszycie z dachu zrywając, a że sobie przy tem ręce poparzyli kniaz stary, spostrzegłszy to, chciał mu je owinąć, chustkę swoją rozdarszy, jemu się łyzy z oczu jak groch polały. Objął potem kniazia za kolana, a że wyglądał bardzo pokaźnie, ludzi ta pokora dziwiła. Gdyby nie to, że w kościele bywał, byłiby puścili bajkę, że to chyba Iskrzycki, ten dyabeł, któremu Bóg za karę złego, jakie niegdyś płaćtał, kazał u uczciwej a niebogatej szlachty darmo służyć. Że pierścień herbowy miał, nieby to nie było zmieniało rzeczy, bo i Iskrzycki herbownym był — dyabeł, który się stał ze szlacheckiej duszy grzesznej.

Kniaz Konstanty zaczął się też powoli do swe-

go podstarościego bardzo przywiązywać. Pamiętał zawsze pierwszą z nim rozmowę i tkwił mu w myśli wyraz: pokutnik! To też na jego pracę, dla której prawie spoczynku mieć nie chciał, patrzył nieraz z żalem wielkim. — Ułontentowałbyś mnie Waszmość wielce, gdybys sobie czasem folgę dał — rzekł mu raz, ale podstarośći podniósł na pana oczy proszące. — Pozwólcie mi kniazia tak czynić, bom się przecież przy zgodzie do tego zobowiązał, że będę robił za dwóch. Małom tu był potrzebny, niechże się też na coś zdam.

A w święta miał kniaz czasem rozrywkę cós z nim o rzeczy publicznej porozmawiać, za co księżna Irena była mu wdzięczną szczególnie. Wogóle człowiek ten, jeżeli rzeczywiście pokutnikiem był, to sobie za pokutę obrał pełnienie owej cnoty miłosierdzia chrześcijańskiego, aby smutnych pocieszać i dokonywał tego tak, że wzruszać mogło, bo poprostu stawiał swoje młode życie między boleścią a nieszczęśliwą starością bezdzietną.

Stolnikowa wróciła do Horycy bardzo wczesną wiosną. Właśnie tykoko śniegi stopniały, łąki zaczęły się zielenić, a ptactwo zlatywało się z daleka na stare gniazda, spadało między trzciny na strumienie znajome. Już teraz i stolnikowa wiedziała na pewno, że młody kniaz zginął. Spotkała się na weselu siostrzenicy z wielu takimi, którzy pod Wiedniem byli, i każdy jej jednakowo powiadał, że ani o tem cośkolwiek wątpić można. Zginął w pierwszej utarczce o świecie słońca, kiedy się nasze straże przednie z Turkami starły.

Żal jej było i jego, i rodziców starych, a jeżeli dawniej niebardzo była temu rada, że siostrzenica okazywała za wielkie przywiązanie do kniazowej Ireny, teraz, przeciwnie, namawiała ją pierwsza, aby ją cieszyła, jak mogła. Ledwie przyjechała powiedzieli jej ludzie, że nieszczęśliwa matka osiwała, jak gołąb przez ten krótki czas jej niebytności, co stolnikową rozdzaliło bardzo. Zdrożona, nie mogła się zaraz w odwiedzinach do przyjaciółki wybrać, ale siostrzenicy to nakazała: — Każ zaprzędz do kałamaszki i wzięwszy sobie do kompanii, którą dziewczynę z garderoby, jedź do Kniazowego Kamienia, mówiła jej, i chorążanka ucałowała za to ręce ciotki z wdzięcznością. Dziewczyny żadnej nie wzięła, bo czyż było daleko przez kawałek pola i kawałek lasu przejechać, a nie chciała pokazać nikomu łez, które jej w drodze do oczu się cisnęły. Piers jej rozrywała boleść wspomnień i bledziutka była jak biała sasanka, gdy przed kniazowski dwór zajechała. Stary kniaz pierwszy ją z okna swojej komnaty przybijającą ujrzał i wyszedł do niej na ganek, a ona mu się jak córka do piersi pogarnęła. Ani się już teraz wstydzila łez swoich, które się strumieniem z pięknych oczu lały, i taką zapłakaną wzięła z kolei księżna Irena w objęcia, zaraz też na spotkanie jej wybiegłszy. Ze Pobóg był właśnie w pokoju księżny, do której przyszł do rozkazy, ile pługów każe sobie jutro do warzywnych ogrodów przysłać? ujrzał chorążankę jeszcze całą we łzach, które za ujrzaniem obcego co prędzej otarła. Ale on już je widział i utkwiał oczy w dziewicę biedną. — A... rzekł sobie w duszy — to jeszcze jedna żaloba, jedna jeszcze ofiara, jedno jeszcze serce rozdarte!

Prawie dziką rozpacz miał w spojrzeniu, gdy cofnąwszy się prędko wtył, wyszedł z pokoju, ale nie pługi na jutro dysponować, nie do ludzi w pole. Biegł prędko do stajni i konia swego sam siodłać zaczął — pięknego siwego konia, na którym tu, w ów zimowy poranek za służbą przyjechał i o którym ludzie mówili, że był sto dukatów wart. Był, ani wątpić, najczystszej arabskiej krwi i posiadanie takiego wierzchowca przez szlachetkę, który podstarościego służbę sprawował, mogło się wytlómaczyć tytkotem, że mnóstwo tureckich koni nasił zpod Wiednia ze sobą przywieźli, a kto amator był, nie sprzedał za nic, i ztąd w byle czyich rękach znajdowały się rumaki kosztowne, po bejach, po baszach może. Takim też był koń Poboga: śnieżnie biały, z okiem wypukłym, ze ślicznym łebkiem małym i nóżkach cienkich, jak ze stali. Ludzie wiedzieli, że nieraz tego konia, jak przyjaciela, całował, i koń za nim,

jak wierny pies za panem swoim, biegł, i dość mu było zdaleka gwizdnąć, aby głos jego poznał i wtedy przez płoty, przez rowy już sadził, aby się do pana dostać. Dziś on na niego drżącymi rękami uzdeczkę zarzucił i siadłszy mu na grzbiet, iak wicher poleciał przez pola.

Gdzie chciał jechać i po co? Nikt go o to nie pytał i on nie wiedział sam: chciał przestrzeni szerokiej, chciał może ucieczki od ludzi, chciał tej jazdy szalonej, niosącej go przed siebie za wolą konia, któremu uzdeczkę na śnieżny kark puścił. Koń poczuł to i rozdymał chrapy, wietrzył wiatr wiosenny, może powiew ze wschodu i pędził, jak strzała. — Leć Łabędziu, leć... — wołał Pobóg niekiedy, i niekiedy też konia obie- ma rękami za szyję brał, jakgdyby to była jego kochanka, i głowę swoją na jego głowę kładł. Była rozpalona jak węgiel, ta głowa, ale on to czynił nie dlatego, aby ją chłodzić. On potrzebował do tego jedyne go druha, jakiego miał, przytulił się, i jak gdyby uzalania się na swoją doleg ciężką u niego szukać.

Koń też wtedy biegu zwolnił nieco, a było to już w lesie. Słońce miało niedługo zająć i panował tu ten świergot, ten ruch ptasiego narodu, który tu mieszkał — gwar harmonijny, odzywający się zawsze w lasach o tej chwili porą wiosenną, a będący znać rozmową przedwieczorną skrzydlatego tworu. Dziwnie to miłe głosy, szmery i złęczone z tem szelesty gałązek, pękających właśnie, by się okryć liściem młodym; woń też jakaś zmieszana z aromatem żywicy, która rozsadzała korę drzew, napełniała powietrze, nie upajając, jak wonności arabskie, ale zawsze bijąc do głowy i rozszerzając niejako pierś, która- by chciała wciągnąć ją w siebie i pić powietrze nią przejęte. Ze panował tu i chłód pewien, że las ujmował jakgdyby w karby jakiegoś jeźdźca, który nie mógł tu już pędzić tak, jak czystym polem, wierzchowcem Poboga zwolnił biegu, a on oprzytomniał. — O! Boże mój! o Boże mój!.. — jęknął tylko żałośnie.

Otarł sobie czoło z potu, dojechał stępa do końca lasu, aby potem, gdy już przez rzędzące drzewa dawało się widzieć pole horyckie, zawrócił. Do domu wracał już uspokojony, a raczej, powściągnąwszy ten szal, który nim miotał przed chwilą. Zmęczenie dodało tu też część swojej: wyburzyła się w nim ta jakaś fala boleści, która zaczęła się rozkiełzywać w rozpacz, i opadała mu na dno serca. Głowa ochłodziła i twarz rozplamioną przed chwilą, wystygła także, tylko w oczach świecił jeszcze blask, jakgdyby łuna ognia, który się w nim wypalił.

Miał oblicze głęboko zadumane, poważne, a był przytem piękny taką pięknnością męzką, jakiej nigdy nie osiągnie młodzieniec w rozkwicie lat wiosennych, bo trzeba już być mężem, aby ją mieć, wyzłobioną w wyrazie tych uczuć, myśli, rozpamiętywań, których pierwsza młodość nie daje. I teraz uzdeczka leżała na śnieżnym karku Łabędzia, który postępował powolnym, mierzonym krokiem, gdy zdumany, zapatrzonej w dal jeździec uczuł jakiegoś jego drgnięcia. Bokiem drogi szła postać kobieca, dziewicza — wysmukła postać Anny i spotkała się spojrzeniem z jeźdźcem. On zdjął rogatywkę i skłonił jej się, przejechał, a ona jeszcze patrzyła za nim.

Księżna Irena mówiła jej o nim, jak zjawił się niespodziewanie, cudownie prawie, i stał się prawą ręką kniazia. Ale ona w tej chwili doznała jednego tylko wrażenia, że oblicze jego było głęboko smutne i piękne. Trochę dalej Pobóg spotkał kolebkę i konie, wjeżdżające właśnie w las. Chorążanka poszła pieszo inną, bliższą drogą, i wyprzedziła je. Miała duszę pełną łez, i aby ją ukołysać, wołała isć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NASZE TOWARZYSTWA

i salony w rozmaitych epokach.

ODCZYT

Piotra Jaxę-Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

Huczne tony wydobywano, nietylko z kobzy (z koziego roku, z kozła), ale także z trąb i z bęb- nów. Wrzeszczał kozi róg za uchem, tłuczono w bęben, by w pudło, aż we łbie trzeszczało. Krzykliwe były kornety i fujary, głośne sztorty, szalamaje, pomorty, regał skrzypice, biegłe pu- zany; przeciwnie, cichemi lutnie, arfy, padwany, szczebiotliwemi flety. Bandory używano do skocz- nych tańców — kończy Rej.

Kapele wszakże wielkim kosztem utrzymywa- ne nie były dostępnymi dla uboższego ogółu; szlachta zatem miewała na dworach swoich bar- dów i rozmaitych śpiewaków. I co do tego dla większej dokładności damy głos Miaskowskiemu, który tak nam to opisuje: — „Przebiegali nasz kraj polscy i zakarpaccy, a szczególnie serbscy śpiewacy, na krzykliwych skrzypcach i na kobzie historyczne zdarzenia wygrywając i wyśpiewu- jąc, lubiani w chacie rolnika i w domach moż- nych. Serbowie żałośni byli też miłe słuchani od naszego rycerstwa. Z pochyloną głową ciągnął śpiewak długi smyczek po skrzypcach swoich, a grając nucił staroświeckie dumy, jak przed laty Polacy i mężne Chorwaty Turków bili. Szermie- rzy tych przeraźliwych najmilej słuchano, że oni wygrywali psalmy wojenne.

Już-to nie mniej miłowano się dawniej w tań- cach i przez nie kończyły się wszelkie ucztę i fe- styny. Zwykle rozpoczynali starzy od tańca pie- szego, który dziś u nas polonemem się zowie. Wylicza wiele tańców dawnych Gołębiowski w swej książce; z tych najulubieńszym miał być wyrwas z przyspiewywaniem a kończył się za- zwyczaj szalonym krążeniem par wkoło. Można przypuszczać iż jest to tożsamo, co nasz dzisiej- szy krakowiak i oberek. Z obcych zaś najwięcej lubiane były: włoski padwan, francuzka gabarda i wiele innych.

Gra w kości i w karty, chociaż wielu namięt- nie się jej oddawało w skrytości, była potępiana i wykluczona z domów prywatnych. Kobiety miały sobie za uchybienie, aby przekładano grę nad ich towarzystwo; gdzie się one znajdowały, kart nie dawano, chyba starszkom dla zabawy, aby się sobie zgrywali na pacierze. Na dworze Alexandra Lubomirskiego, o którym wyżej wspo- mniano, — opisujący go, powiada: „Tak Jmci Lu- bomirski miał w pogardzie kosterów i kartowni- ków i wszelkie ich praktyki, że ich w dom swój nie przyjmował. Dworzanom wzbrowił nietylko gry prowadzenia, ale posiadania u siebie wszel- kich narzędzi grackich. Jednemu z faworytów kozaków, który kart młodym gościom do gry do- starczył, dał abszyt nie bacząc na 30 letnią wier- ną służbę i mimo to, że miał do niego zamiłowa- nie. Ichmościów zaś tych pożegnał i więcej w do- mu swym nie powitał.“

Kozernikiem pogardliwie nazywano tego — mó- wi Rey — kto dla zysku lubił gry azardowne. U ta- kich ludzi zawsze leżały karty na stole, a obok nich pieniądze, któremi brżakali, do gry zachęca- jąc. Miaskowski też utrzymuje, że z grą ludzie się taili i powiada: „kosterowie cały dzień prze- siadywali w karczmie, rozebrawszy się do koszu- li, ażeby im wygodniej grać było. Grywali aż do późnej nocy, a gdy karczmarce zabrakło świec łojowych, łuczylwem na kominie przyswiecali so- bie.“ Szulerstwo więc, w zeszłym wieku tak ja- wne u nas, wcale u dawnych nie było w praktyce; rozgościło się u nas dopiero za Sasów.

Dla urozmaicenia były jeszcze gry t. z. towa- rzyskie, szczegółowo je opisuje Gołębiowski, a

prawie wszystkie, z odmianą niektórych nazw, utrzymały się do naszych czasów.

Trudno-by objąć szczerzym opisem cały szereg ówczesnych środków urozmaicenia zabawy. Mówiliśmy dotąd o zabawach w domu, nie wliczywszy wszystkich; a ileż-to poza domem ich było, poczynając od łowów, w których nasz naród rycerski osobliwie się kochał; następnie konna jazda, rozmaite ćwiczenia zręczności i siły, szermowanie, gonitwy, gonienie do pierścienia i t. p. Wszystkie te zabawy uświetniała i uprzyjemniała obecność niewiast—nawet i zabawy poza domem. Często dawniejsze niewiasty brały czynny udział w łowach, a wszystkie były chętnymi ich widzami; tym końcem na miejscu łowów wznoszono dla kobiet rusztowanie czyli łoże, które przyozdabiano z wielkim przepychem. Wszystkie zaś turnieje i ćwiczenia zręczności odbywały się wobec niewiast, gdzie stawały się one bodźcem i podnieciem do zwycięstwa. A niejedną za pańnik dla zdobycia wstęgi lub kwiatka ulubionej damy zdrowia i życia nie ważył.

Zaprawdę, pod względem towarzyskim dawną Polskę można nazwać krajem gościnnym i rozbawionym, a społeczeństwu w tej mierze pierwszeństwo przyznać przed innymi. Domatorem i odludkiem za dawnych czasów być było trudno. Dość bowiem policzyć okazyje doroczne przez czas świąt uroczystych i zapust—chrzciny, oświadczenia, zrękwiny, wesela, imieniny, narodziny, kuli, maskiary i t. d. bez końca. U nikogo zaś, jak mawiano, „woda bez sąsiada się nie oświeciła.“ Na wszystko były formy prawem towarzyskim przepisane, od których nikt nie odbiegał.

Lecz nie na tej różnorodności zabaw i urozmaiceniu rozrywek polegał urok spajający silnie węzły towarzyskie; główną ich podstawą była wysoka ogłada światowa dawnych ludzi, ujęta w formy estetyczne; była to, starym wyrazem powiadając, „attencya“ i dbałość o wzajemne zachowywanie względów. Już-to pierwszą zaletą i okrasą wszelkich zebrań były: dowcip i humor dawnego pokolenia, które mówić, ale przytem i słuchać, umiało. Rozmowy, opowiadania, czyli konwersacya i dyskurs, jak wówczas zwano, stanowiły najmiłszy powab towarzystwa.

Na dowód tego otwórzmy tylko nieocenioną starą księgę Łukasza Górnickiego „Dworzanin.“ Nie przeczę, iż może zrazu nas, naszpikowanych francuzczyzną, uderzy pewną szorstkością mowa ojców. Lecz wczytać się tylko bez uprzedzenia do starszości, w tę jędrność nacechowaną dowcipem i pogodą myśli, dyszącą dawną szorstkością, która u nas stała się fałszywą monetą— a niezawodnie pozbędziemy się wszelkich uprzedzeń.

Odczytajmy z uwagą Górnickiego, a przekonamy się, niestety, poniewczasie, że nietylko w udoskonaleniu towarzystwa, ale nawet co do form zewnętrznych tak zwanej *mody*, nie potrzebowaliśmy nic zapożyczać u obcych, bośmy mieli wszystko swoje, bardziej nam właściwe, bardziej do nas przyrośnięte. Czyliż nie było to towarzystwo, że tak powiem, skończone, wygładzone w formach i całym układzie kiedy przed 300 laty posiadało tak doskonały kodeks przyzwoitości, jakim jest „Dworzanin?“ Wierzę, iż pomimo całej pretensyi do udoskonalenia naszego społeczeństwa, jeszcze bez wyjątku, we wszech względach, księga ta być-by mogła dla nas towarzyskim prawem. Nic z niej nie przywiodę, gdyż cytaty zaprowadziłyby nas daleko; wszystko tam piękne i głęboko obmyślane; autor, ucząc jakim dworzaniin być ma, zawarł w książkę historią towarzyską swojego czasu. Nie pominął żadnego stanu, poczynając od króla, wszystkich przedstawił we własnych żyjących postaciach, z całą prawdą i wdziękiem talentu. Badacz dawnych dziejów towarzyskich pomimo to, że się Górnicki na Castiglionem wzorował, w żaden sposób tej księgi pominąć nie może.

Jest drugie dzieło niemniej ważne, lubo się różni od poprzedniego formą i mniejszą wytwornością stylu, a tem jest „Żywot poczciwego człowieka“ Reya z Nagłowic. Górnicki, dworak, statysta, inaczej patrzył na świat, a zresztą posiłkował się włoskim autorem, którego co do układu za wzór sobie obrał; Rey zaś pocz-

ciwiec, rubasznik, jak to mówią: *prosto z mostu*, opowiada, co widział, czego doświadczył u społecznych sobie ludzi, a opowiada z całą swobodą duszy i serca, zawsze tchnie prawdą, bez względu, czyli to ukole kogo w oczy. Z tych obydwóch ksiąg nauczyć się wiele można, aby przyjść do wniosku, iż towarzystwo tamtoczesne, będące dla obu autorów wzorem i natchnieniem, już stało wtedy na wysokości ogłady; a mimo to krzątało się jeszcze około naprawy i doskonalenia.

Sam wyznaję, iż co dotąd wypowiedziałem, zakrawa na bezwarunkowy panegiryk naszej przeszłości i słuchacz gotów mnie zapytać: „azali owi przodkowie nasi byli aniołami i świętymi bez wad i grzechów?“—Jako żywo!—siła w nich było jednych i drugich, a wszystko to odziedziczyliśmy po nich, a bodaj i skrzętnie dochowali; więc dość wejrzeć w siebie samych, aby je sobie przedstawić. Woląłem zatem ograniczyć się na wyliczeniu zalet, z których przyznajcie sami, wiele do bezpowrotnie zaginionych należy.

A kto wie, może i nielepsi oni od nas byli? Wszelako jeżeli wierzyć tej starej maxymie, iż „początkiem mądrości jest znajomość samego siebie“—musimy im przyznać choć tę jedną wyższość nad sobą, że, znając swoje wady i niedostatki, około ich poprawy zabiegali. Czyliż potrzeba lepszych na to dowodów nad t. z. *Rzeczpospolitą Babińską*, którą, chociaż powszechnie znaną, jednak gweni zachowaniu całości, pozwolę sobie w skróceniu odzywić tu w pamięci słuchaczy Pszonka, herbu Janina, sędzia lubelski, zacny obywatel, znakomity nauką, dowcipem i majątkiem, chcąc przez łagodne żarty wpłynąć na poprawę błędów pojedynczych osób, jak i całego narodu, wraz z Piotrem Kaszewskim, także sędzią lubelskim, i kilku innymi wesołego umysłu ludźmi ustanowili towarzystwo z wyraźnymi prawami i protokółami posiedzeń i przezwali je *Rzeczpospolitą Babińską*. Na wzór rzeczypospolitej polskiej obierano i w Babinie urzędników. Najpierw przyjaciele Pszonki rozebrali pomiędzy siebie urzędy potrzebne do uporządkowania rzeczypospolitej. Pszonka był burgrabią, Kaszewski kanclerzem, resztę urzędów nadawano na wspan. według wad i słabości, które w kim dostrzeżono—i tak np. łgarze i samochwały, swięgotliwi i wszteteczni pozyskiwali imię sędziów prawych, rycerzy mężnych, mówców kraśnych i kapłanów pobożnych. Miało to wielki wpływ na poprawę moralności w narodzie, zwłaszcza, gdy jawnem było, że nie w celu dotknięcia osobistości, lecz dla zachowania obyczajów nieskazitelnych, wyszydzenia te podejmowano: bowiem ludzie uszczypliwi, obmówcy i niedobrej famy za członków tej rzeczypospolitej przyjmowani nie byli. Dlatego, co przedniejszych mężów było w narodzie, jako to: hetman Jan Zamojski, Rey, Jan Kochanowski, Sęp, Paprocki, i innych wielu, starało się o zaszczyt członków w tem mądrym stowarzyszeniu. Pszonka umarł około r. 1570, lecz krewni i następcy jego rzeczypospolitą dalej prowadzili o czem świadczą dochowane jej akta do r., 1677. Snadź odtąd ustał ten zakład, utraciwszy swój wpływ zbawienny na społeczeństwo, przy ogólnem zepsuciu obyczajów.

Książd Xawery Szaniawski, podający szczegółowy opis rzeczypospolitej babińskiej w rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, twierdzi, że ta mądra zabawa tak się podobała Francuzom, iż w XVIII w. na wzór rzeczypospolitej babińskiej założyli również słynny *régiment de la calotte*.

Już sama rzeczpospolita babińska będąca wcieloną krytyką i żywą satyrą towarzystwa, stała niejako na straży, broniąc je od zepsucia. Czyliż zaś i to nie jest jednym z ważnych dowodów ówczesnej dojrzałości społecznej, że szukaliśmy udoskonalenia i poprawy, przez tak rzadkie u ludzi zaparcie się miłości własnej? Żaden bowiem kraj nic podobnego w tym rodzaju nie posiadał. Również wyznajmy, iż przy dzisiejszej naszej drażliwości i zarozumieniu, taka rzeczpospolita babińska ostać-by się nie mogła, albo przynajmniej pierwsze jej protokoły wywołałyby siła burd i processów prassowych.

Lecz, niestety, niedługo cieszyliśmy się tym błogim stanem rzeczy. Rychło nastąpił przełom

gwałtowny, a swojski zdrowy żywioł, który aż nadto zadawał własne wymagania i przypadał do charakteru narodowego, poświęciliśmy niewczesnemu naśladowictwu obczyzny. Porwani chętką nowości, umyśliśmy naszą miłą staropolską izbę zmienić w salon francuzki. Jak wyszliśmy na tej zamianie i jakie były jej skutki?—nad tem będę miał zaszczyt zastanowić się na przyszłym, łaskawie mi udzielonem, posłuchaniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA

A R A B E S K A

Jarosława Vrchlickiego

(Ze świeżo wyszłego tomiku: *Powiatki ironiczne i sentymentalne*).

z czeskiego przełożył Miriam.

Było to w Kwietniu 1283 roku.

Prawie na środku ulicy del Corso, która wówczas była jakby sercem Florencyi, stał naprzeciwko domu piekarza Floka Portiniego młodziś smukłej postaci, otulony w obcisły, czarny płaszcz, jaki w owej epoce przez bakałarzy wysokiej nauki powszechnie był używany.

Stał tu już długo,—widocznie kogoś oczekiwał. Złote słońce wiosenne nurzało ulicę w morzu światła, powietrze niezwykłe świeże nie połyskiwało jeszcze bynajmniej głębokim lazurem letnim; ale było coś niezwykle rozmarzającego w jego miękkich falach, któremi oblewało spiczaste szczyty domów patrycyuszów, wieże i kopuły czarownego miasta. Coś, jakby śpiew niewidzialnych ptaków, spływało z góry niekiedy z ogrodów uroczyste zaszumiały gałęzie drzew, i znów panowała marząca cisza, pełna niewysłowionej słodczy wiosennej i czaru nieprzepartego. Czasem tylko przesunął się ulicą brat jakiego zakonu, z rękami pobożnie na piersiach skrzyżowanymi, z różanicem na białym sznurze u pasa,—przesunął się jak cień, aby tem lepiej odbijały alabastrowe skrzydła gołębi, które stadami całemi zlatywały z gęmsów Signorii, cicho i trwożnie, jakby nie chcąc przerywać siesty miasta w złoty sen wiosenny pogrążonego.

Młodzian otulony w płaszcz stał jak posąg, spoglądając uparcie na krzak kwitnących róż przed domem. Były to róże pełne, wielkie, bajecznej piękności i upajającej woni.

Tymczasem ulicą zbliżał się krokiem poważnym z głową spuszczoną mąż również czarno odziany, w szatach bogatego patrycyusza; w ręku trzymał zwitek pergaminowy, niekiedy czytał z niego półgłosem, chwilami się uśmiechał. Może na dwa kroki od młodzieńca zatrzymał się; złożył ręce na krzyż na piersiach i bacnie mu się przyglądał. Młodzian długo nie czuł, że jest przedmiotem czyjejś uwagi, wreszcie zbudził się ze swego marzenia, otworzył ramiona i postąpił ku przychodzącemu.

— Mój Gwido!—zawołał i mimowolnie sięgnął po zwitek, z którego ten przed chwilą czytał.

— Nie tak nagle, Durante—odrzekł wymijająco zagadnięty i podniósł zwitek nad głowę, jakby chcąc drażnić przyjaciela—nie tak nagle!

— Wiesz, że płonę z tęsknoty—zauważył młodzian.

— Bardzo naturalnie: kto kocha, ten zawsze płonę z tęsknoty—mówił Gwido powoli, jakby coś cytując.

— Ty się ze mnie naśmiewasz.

— Nie, przyjacielu, ale nie wiem, czy odpowiedź moja cię zaspokoi. Mam w kwestyi miłości właściwy mój pogląd, inny niż ty i Cino.

— I Dante da Majano—wtrącił przyjaciel.—Wiem to, wiem. Ale daj to, na Boga. Właśnie twoja odpowiedź najwięcej mnie będzie zajmowała. Oto masz—i sięgnął do wiszącej u boku torebki,—odpowiedź Danta da Majano; jestem

prawie obrażony sposobem, w jaki mówi o miłości. Takie nikczemne to słowa, jak widnokrąg jego duszy. Tem więcej pragnę twej odpowiedzi.—I znowu wyciągnął rękę po zwitek pergaminowy.

— Ale Gwido Cavalcanti silnie trzymał pergamin nad głową i z zachmurzonym obliczem rzekł:

— Daj pokój, Durante, daj pokój. I moja odpowiedź cię nie zaspokoi. Ilu nas jest wiernych w miłości, a jak każdy inaczej ją pojmuje! Cino znajduje ją we wrażliwości tylko, Dante da Majano—w zmysłowości, ty—w sercu gorącym, a ja—w zimnym rozumie. Dla mnie najwyższym przedmiotem miłości jest filozofia. To słodki ów bóg, który mną owłada: *Ecce deus fortior me!*—Kto z nas ma słusność?

— Daj swą odpowiedź! daj—płonę niecierpliwością—wołał przyjaciel.

Nagle, w chwili, gdy Gwido Cavalcanti podawał przyjacielowi poetycką odpowiedź swoją na sonet jego, otworzyła się furta ogrodu przy domu Folka Portinarego i wyszły z niej dwie starsze matrony o poważnych, surowych twarzach, siwych włosach, w bogatych lecz prostych szatach. Za nimi ukazało się na ulicy dziewczę wysmukłej postaci, odziane w białą jak śnieg suknię, z głową lekko pochyloną, z delikatnym odcieniem rumieńca na bladej, przezroczyściej twarzyczce. Weszła między obie matrony i postępowała pośród nich ulicą.

Obaj przyjaciele usunęli się i oczekiwali na nie z głębokim, pełnym szacunku, ukłonem. Obie matrony nieco dumnie i zimno odpowiedziały na pozdrowienie, ale dziewczę głęboko skłoniła cudną główkę, jakby gnącą się pod ciężarem swojej piękności, a silniejszy rumieniec zabarwił jej liczek, podobne w tej chwili do najpiękniejszej róży na krzaku, koło którego właśnie przechodziła. Na chwilę tylko z trwożliwością łani podniosła niewysłownie głębokie, ciemno-lazurowe oczy i poszła dalej między obiema matronami niepewnym krokiem i ze spuszczoną głową.

— *Tanto gentile e tanto onesta pare la donna mia* ¹⁾ — szepnął, drżąc prawie ze wzruszenia i świętej bojaźni, przyjaciel Gwidona Cavalcanti'ego.

Ten, choć starszy i zimniejszy, był również wzruszony, i położywszy rękę na ramieniu przyjaciela, powtórzył smutnie ostatnie słowa jednego sonetu jego: *Che va dicendo all' anima: sospira!* ²⁾ — poczem zwrócił się w uboczną ulicę.

Durante Alighieri stał ciągle niemy, z okiem utkwionem w tem rajskim zjawisku. Oto, tam w końcu ulicy migiała owa *creatura bella bianco vestita* ³⁾, jako jaśniejąca lilia między szaremi łodygami usychającego sitowia. Jak poruszający się płomień unosiła się nad ziemią, i zdawało się, że cała piękność tej przyrody wiosennej, cała starożytna powierzchowność dumnego miasta, wszystko światło i radość, wszystkie wonie i blaski były tylko ramą, z której występowała ona uśmiechnięta, z tym delikatnym rumieńcem na twarzy, z tą słodyczą w głębokiem oku, z tem miłosierdziem niebiańskiej, nieskończonej miłości. Wtem rozdzwierały się wszystkie dzwony pobliskiego kościoła i spłoszone stado białych gołębi zleciało się jak chmura białych róż nad jej głową, właśnie w chwili, kiedy gdy nikała w ciemnym krużganku katedry, której kamienie zdawały się drgać w złotem powietrzu, gdy występowała próg jego.

— *Ecce deus fortior me, qui veniens dominabitur mihi* ⁴⁾ — szepnął jakby w extazie Dante Alighieri, stojąc ustawicznie na jednym miejscu ze wzrokiem utkwionym w koniec ulicy.

— Ach, messer Durante — ozwał się za nim głos, — do jakiej kanzony szukacie właśnie ostatniego rymu?

Zagadnięty obrócił się śpiesznie, jak ten, kogo nagle ze snu zbudzą. Przed nim stał wzór do-

skonałego eleganta owej doby. W jednej ręce trzymał wielki bukiet, drugą swobodnie bujał swój miecz wiszący na bogato ozdobionej szarfi.

— Bóg z wami, messer Simone! Rymu, zaiste, nie szukałem; nie jest to moim zwyczajem: przychodzi na sam jeszcze wcześniej, niż go potrzebuje, i to nie jeden, wierzcie mi.

— Wszak znana wasza pycha: nie przyznacie się do tego — A przecież wiem, że noce całe spędzacie nad jednym sonetem.

— To może być prawdą, ale nad sonetem już napisanym.

— Napisanym? — tego, doprawdy, nie rozumiem. Napisany to napisany, czegoż mu brak jeszcze? Jaby przedziej całe życie spędził nad nienapisanym.

— To znowu ja doskonale rozumiem, messer Simone. Widzicie, drogi nasze rozchodzą się.

— Macie słusność. — Wy tu rymów szukacie, a ja jestem proszony, abym wyprowadził Bice z kościoła i towarzyszył jej do domu; chwilę jeszcze przejdę się po placu, a potem pójdę ku drzwiom kościoła. To starczyłoby za kanzonę, messer Alighieri.

— Wy—jesteście proszeni?—A przez kogo?

— Przez nią, przez Bice, córkę Folka Portinarego. Mam już słowo, messer trovatore, idę po nią jako narzeczony, — — jako narzeczony! Żegnaj, sinore, żegnaj! Gdy ten rym znajdziecie, przypomnijcie mnie sobie.

Dante już go nie słyszał. Morze ciemności zatopiło go. Słyszał dziwny huk, jakby ziemia się otwierała. O gdybyż chciała go pochłoniąć! Ale ona twarda i sroga nie uczyniła tego. Drzewa szumiały dalej uroczyście, róże dalej kwitły, gołębie, jak zawsze, zlatywały z gżemsów, powietrze tchnęło weselem, blaskiem i wonią, i tylko w jego łonie była ta otchłań, była ta noc, był ten huk straszliwy. Nie wiedział, jak długo stoi tutaj, trzymając w ręce odpowiedź przyjaciela Gwidona Cavalcanti'ego, dotąd nieczytaną—tę odpowiedź, której tak pragnął.—Cóż mu po niej? Teraz miał już odpowiedź inną.

Odgłos kroków, rozmowa i śmiech zbudziły go z zadumy. Ona-to wracała z kościoła po wykonanym akcie pobożności. Szła znowu biała, jaśniejąca, ale już nie wpośród obu matron, — te zwolna kroczyły z tyłu — szła naprzód, a przy jej boku kołysał się i spoglądał dumnie, on, ten Simon de Bardi, który przed chwilą tu z nim rozmawiał. A teraz mówił znowu, cały w żartach i śmieszkach, a ona trzymała w ręku jego bukiet, i lekko się uśmiechała; obie matrony z uczuciem pychy macierzyńskiej szły poważnie za nimi. I byli już blisko poety, rozmowa brzmiała coraz głośniejsz i bardziej wyzywająco. Dante chciał uciec, lecz nie miał siły — zresztą było też już za późno.

— To szczęście iść z panią—szczęściotał messer Simon—Życie za nie oddam!

— Nie wiem, czy istotnie jest ono tak wielkiem—odpowiedziała ona skromnie.

— Chcesz pani dowodu? — rzekł on wyzywająco.

— Być szczęśliwym, gdy przyjdzie szczęście, potrafi każdy — brzmiał głos jej, a poeta uczył, że w oku jego drży łza tłurowa — ale pamiętać w szczęściu własnem o biednych, to większa sztuka.

— Nie rozumiem pani, signora. O kim mam pamiętać?

Wtem stanęli przed domem u krzaka obsypanego kwitnącemi różami.

— O cierpiących, signore Bardi, o cierpiących — wyrzekła ona cicho.

Potem urwała najpiękniejszą różę i, zanim messer Simon się spostrzegł, podała ją poecie, z oczami spuszczone, a jednak pełnymi słodyczy litości nieskończonej.

Nie rzekła ani słowa — on również milczał. Weszli do domu, a on na ulicy cisnął do ust tę bujnie rozkwitłą ognistą różę, którą oko jej poświęciło łzą niebiańskiej słodyczy i litości nieskończonej.

I długo, długo stał jeszcze na ulicy przed domem piekarza Folka Portinarego młody Durante Alighieri. Wpatrywał się nieustannie w tę różę, naprzód tępo, bezmyślnie, w porwie bólu niewysłowionego, później zaczął rozdzielać jej zwoje,

widział, jak listki jej w delikatnych zakrętach łączą się z sobą; uskrzydłony duch jego zstępował po nich coraz głębiej i niżej. Czarne usposobienie jego działało nań z taką siłą, że róża znikła mu przed oczu i pozostały tylko te kręgi ustawicznie a cora prędzej wirujące, zstępujące w nieznaną otchłań, straszną i groźną. Widzenie piekła na tej róży przemknęło w jego mózgu w tej chwili; piekło mąk, które przeżył, przybierało widzialne kształty i postacie i otwierało przed nim w tej róży swą paszczę. A tymczasem na różę spływały łzy jego, wrzące jak olów roztopiony, palące, jak siarczyste deszcze Sodomy i Gomory ale też łzy co oczyszczały i podnosiły. W odblasku łez zdało mu się naraz, że krwawa ognista róża ta bladej w jego ręce, że śnieżystymi świeci blaski i, jakgdyby wichur westchnienia w inną powiał stronę — widział w marzeniu, jak róża ta rośnie, rośnie zwolna w olbrzymie rozmiary, rośnie w jaśniejącą różę empirejską, gdzie każdy listek jest tronem świętego, gdzie środek jest wirem ognistym, gdzie przebywa ta miłość, która wszystkiemi porusza gwiazdami. A blisko środka z jednego listka wstaje owa *Creatura bella bianco vestita* i idzie naprzeciw niego, w rękę trzyma wieniec z niewiedzącego wawrzynu, którego liście są gwiazdami, a przez wszechświat przebiega grzmot, jakby rozgwar zastępów i burza wód spadających: Święty, Święty, Święty—Hosanna i Aleluja nieskończonych, nieprzeliczonych hufców anielskich.

I cisnąc różę do ust, uczył w duszy pierwsze zarzysy wielkiego swego poematu, który jeden tylko pomógł mu znieść zdradę miłości i ojczyzny, i nie widział, że koło niego przechodzi młody malarz, który, widząc go z różą w ręku stojącego w głębokim zamyśle, zatrzymał się też, aby wyrzeć sobie w duszy wielką postać jego i pokazać przyszłym wiekom.

A malarzem tym był Giotto.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Listopadzie 1885 r.

Jakie tu sprawiły wrażenie: śmierć króla hiszpańskiego i wypadki wojny bałkańskiej. — Swoje i cudze sprawy. — Nasz literacki przywódca i kryzys — *Germinal* p. Zoli w teatrze i jego zajęcie z cenzurą. — Kto tu winien? — P. Renan i jego nowy dramat: *Kapitan Nemos*. — Zamiar autora i skutek dzieła. — P. Coppée i jego dramat *Jakobici* w Odeonie.

(Dokończenie).

Wzburzone fale pospólstwa dążą bezwiednie do tajemniczego celu przeznaczenia; z początkiem piątego aktu widzimy rozkiełznane tłumy, domagające się śmierci kapłana i widzimy zbójów gotowych do mordu. Na czele ich niejaki Casca: to przyszedł kapitan Nemos według decyzji przewódcy arystokratycznego stronnictwa, któremu dostała się władza.

Z pierwszemi słowy piątego aktu dowiadujemy się o śmierci kapłana. Autor, aby nie zrazić publiczności zbytciem mordów, zabicia Antystyusza dopełnia za kulisami; wszyscy potakują spełnionemu czynowi i Casca zabójca okrzykniony jest następcą zamordowanego. Ale ostatni stopień do Kapitolu najtrudniejszy. Tu się ukazuje Sybilla w całej grozie fatalnej natchnionej kapłanki z rozpuszczonym włosom, ze sztyletem w ręku. „Tyś kapitan Nemos? — zapytuje Kaski.

— Ja! odpowiada zbrodniarz. — Masz, oto dla ciebie, kapłanie! I zatapia mu sztylet w piersiach. A teraz wstępuje na stopnie ołtarza i przepowiada... przepowiada przyjście Chrystusa, a wielkość i panowanie Rzymu!

Dramat się kończy wiadomością, że Romulus zabił brata i Rzym założony. Prorok izraelski, więzień, który wszystko to widział z Babilonu, woła:

„Słowo Jehowy:

Tak narody wycieńczają się na próżno,
I ludy się turbują na korzyść ognia!“

(Jeremiasz I V, 58).

1) Tak piękną jesteś ma pani i tak miła.

2) Która idzie mówiąc do duszy: Wzdychaj!

3) Piękna istota, biało odziana.

4) Oto Bóg mocniejszy odemnie, który idąc zapanuje nademną.

Taki jest koniec tego dramatu. Dziwna książka! Tryumfu religijnego i moralnego próżno tu szukać; dramat zamknął się w kilku ostatnich kartkach: w tem strasznie widzeniu Sybilli, karzącej zbrodnię i prorokującej odkupienie Ludzkości. Wyjąwszy kilka ustępów, jako to: monolog kapłana i Sybilli, scena Leporinusa i Ganeona, i koniec dramatu, który podnosi się do najwyższej potęgi, reszta zdaje się nam mówić: *etiam ipse dormitat Homerus!*

Lecz, jeżeli p. Renan zdrzemnął się trochę, nie miał on wcale ani zamiaru ani chęci, aby ten tytuł dramatu, dany jego książce, wzięto ze strony poważnej i próbowano wprowadzić na scenę; była to tylko poetyczna licencja znakomitego pisarza i chwilowa zabawka poważnego umysłu.

Jego kolega z Akademii podjął się tym razem wprowadzenia na scenę Odeonu, na to pole pierwszych swoich wystąpień i pierwszych powodzeń, oficjalnej reprezentacji Akademii Francuskiej. I mamy prawdziwie akademicki utwór, mający wszystkie warunki poprawności, czystości stylu, i powiedzmy na ucho: — niezmiernych nudów! Dawno już, bardzo dawno, nie słyszeliśmy na żadnej scenie paryżskich teatrów takiego potoku bijących się wierszy, takich monologów klasycznych, takich *tirades*, jak oni to nazywają i takiego ziewania; lecz ponieważ autor jest akademikiem uwiecznionym i nie bez racji, poetą, jest ulubionym śpiwakiem i pisarzem niezaprzeczonego talentu: krytyka więc obeszła się z szacunkiem, publiczność ze skromnym uśmiechem, a przyjaciele — z głębokim milczeniem...

Wspomnijmy teraz o nowym dramacie Coppégo *Jakobici*, wierszem w 5-ciu aktach. Autor *Sewera Torelliego*, który się nam pokazał w tej sztuce tak śmiałym, tak przedsiębiorczym, tak zawsze gotowym się odważyć na najzuchwalszą sytuację, byleby ta była nową i targającą za serce, dziś staje przed nami, jakby zmartwychwstały cień jednego z tych klasycznych poetów, których posagi i popiersia wypełniają przedsionki i sale Akademii. Zapewne, jestto chwalebnie z jego strony szanowanie pamięci przodków; ale posuwać tę cześć aż do zaparcia się samego siebie — to może zawiele. Pozwólcie, że sprawę wnioś przed wasz sąd, czytelnicy moi.

Komu nie przyszło wertować historii angielskiej, ale kto nie zapomniał jednego z najświetniejszych romansów Waltera Scotta *Waverley*, temu w żywych barwach zarysują się w pamięci: postacie, wypadki i smutne losy pretendenta Karola Edwarda, ostatniego ze Stuartów, któremu przeciwnie losy wytrąciły z rąk berło, w pamiętnej bitwie pod Culloden. Ten Karol Edward był wnukiem Jakóba II-go, zmarłego na wygnaniu w Saint-Germain en Laye pod Paryżem, w 1688 r., a synem Jakóba Edwarda, przezwanego kawalerem de Saint-Georges. Od jego-to imienia wszyscy partyzanci sprawy Stuartów w Anglii nosili to nazwisko Jakobitów, unieśmiertlone szlachetnym i niezrównanym poświęceniem życia i mienia dla ostatniego potomka rodziny królewskiej.

Jakobici p. Coppégo, jestto historia — dramatyczna zapewne, ale zbyt obszerna w swojej całości usiłowań i pokuszeń ostatniego ze Stuartów — do odzyskania tronu swych przodków. Od chwili wyładowania pretendenta na brzegach Szkocji 27 Czerwca 1745 r., chwili, w której się rozpoczyna dramat, aż do bitwy pod Culloden 27 Kwietnia 1746 r. upływa 10 miesięcy, pełnych wypadków, wielkich zmiennych losów fortuny, nadziei i obaw, a wszystko to pochłania na koniec ostatnia przepaść upadku. Obraz tej całości jest dramatyczny — ale wypadki i osobistości mniej się nadają do scenicznych przedstawień, niż do powieści. Trzeba więc się uciekać do epizodycznych figur, jak to uczynił Walter Scott i wszyscy, którzy się dotykali tego przedmiotu; a to tem bardziej, że postać główna, ta, która powinna panować nad wszystkim, postać pretendenta samego, nie dosięga wyżyn, na które ją wyniosły losy. Z tego-to powodu zapewne i p. Coppé, zamiast wyprowadzić na pierwszy plan swej sztuki postać pretendenta, wyprowadza naród cały walczący w sprawie wierności do tronu; a wśród tych Jakobitów o głębokiej wierze, o nieustraszo-

nej odwadze, pokazuje nam postać ślepego żebraka Angusa, którego wnuczka, jak druga Antygona, bezgranicznie poświęceniem się, ocala część sprawy — ale nie ocala bohaterskiego, artystycznego rozwiązania sztuki, która się kończy epilogiem w postaci, jak to mówią Francuzi: *rybiego ogona!*

Akt I-szy, służy tu autorowi za pewien rodzaj wniesienia sprawy, gdzie pięknym wierszem i długim monologiem tłumaczy nam położenie i usposobienie górali nazajutrz po wyładowaniu pretendenta. Zniechęcenie i oziębłość są powszechne; tyle usiłowań i poświęceń, jakie kraj złożył w sprawie Stuartów, krwawo wypiętnowały się w pamięci narodu, i ogół pragnie uspokojenia i zakończenia wszelkich awanturnych pokuszeń.

Piękny jest bardzo ustęp i wspaniałymi wypowiedziany wierszami, kiedy stary ślepy Angus, ojciec czterech synów rozstrzelanych przez Anglików w poprzednich powstaniach, staje wśród zniechęconych górali, prowadzony przez młodzieńką wnuczkę i zwracając się do grabarza, klnie i prosi, aby mu grób wykopał. W tym grobie, powiada natchniony ślepiec, wyjmując z szandary sztandar biały z czerwonym, sztandar Szkocji, uratowany z ostatniej bitwy — w tym grobie zakopię wraz z tym sztandarem, losy i cześć Szkocji! Na widok tej drogi relikwii, na głos tych słów ślepego męczennika najświętszej sprawy, górale postają jakby jednym związani łańcuchem i przysięgają walczyć i umrzeć za sprawę Karola Edwarda. Naturalnie, wchodzi na scenę pretendent z orszakiem. Odbiera przysięgę klanu Fingall, a dziękując staremu Angusowi za wierność dochowaną sztandarowi Szkocji, całuje w czoło młodzieńką Maryę, wnuczkę jego — co zapala serce dziewczęcia, a rozrzuca ogień w duszy młodej żony lorda Fingalla.

Po zajęciu Edynburga i po wygranej pod Prestonans radość i szczęście panują w obozie pretendenta, a autor rozwija nam w II i III akcie obraz zepsucia i zniechęcenia, którym się oddają wszyscy, a na ich czele Karol-Edward, wplątany w miłosną intrygę z Dorą Fingall, żoną jednego z pierwszych stronników jego sprawy. Gorszące i smutne te sceny składają się na ulubioną dla Francuza część każdego przedstawienia: wykwintne stroje, niesłychane toalety dam, przepyszne dekoracje — na czem jednak dramat nie zyskuje bynajmniej, ani pod względem interesu, ani pod względem akcji — którą zastępują, długie i nudne deklamacje Francuza Margrabiego d'Aiguilles. Jestto może dość zabawna marynetka dla jakiej sztuczki z Teatru Rozmaitości, ale w tym dramacie jestto nużąca i nudząca wstawka — przyznam się że z trudnością mogłem usiedzieć w moim krześle — a toż samo znużenie widziałem na twarzach wszystkich moich sąsiadów.

Wyprowadzenie powtórne na scenę wnuczki starego żebraka, która, przemknawszy się przez linię wojsk nieprzyjacielskich, przynosi ostrzeżenie i wiadomości nadzwyczaj ważne dla pretendenta, jest tak widocznym naciąganiem sytuacji, iż wyczerpuje wszelką już pobłażliwość. Wprowadzenie do sztuki, do dramatu historycznego, tej urojonej miłości żebraczki dla księcia; urządzenie jakiegoś współzawodnictwa, pomiędzy tą skromną dziewczyną góralską a lady Fingall; jej wszechwiedza stosunków intryg dworskich — są to wszystko zbyt stare i zużyte łyka.

Jakkolwiekby, Karol-Edward przyjmuje ją jakby damę dworu, widząc jej znużenie, sadza ją we własnym swoim fotelu, ledwie, że nie upada przed nią na kolana, a w końcu daje jej sakiewkę ze złotem i z cyfrą królewską.

Wskutek przyniesionych wieści przez góralkę wojsko odbiera rozkaz do wyciągnięcia w pole; ale pretendent przed odjazdem wymaga od lady Fingall ostatniego tajemnego widzenia. Te haniebne miłości nie są tajemne dla góralskich wodzów i dla samego Fingalla — i schwytnie występnej żony na schadzce z pretendentem już postanowione. Zawiadomiona o tem wnuczka Angusa postanawia ocalić lady Fingall, i kiedy wiarołomna bije się z myślami i z sumieniem w samotnym mieszkaniu w Edynburgu, które tyl-

ko co opuścił pretendent, góralka wpada przez otwarte okno i uwiadamia o niebezpieczeństwie, które grozi występnej żonie, a którą przychodzi ocalić — ona, ta biedna wnuczka żebraka. Ale wszystko już zapóźno. Góralscy wodzowie, a na ich czele Fingall szturmują do drzwi — wpadają; lady Fingall ukryła się w przyległej izbie, wobec wodzów staje córka żebraka: poznają ją oni i domyślają się jakiegoś podstępu, ale wypadła z jej rąk sakiewka ze złotem i z cyfrą pretendenta — usuwa wszelką wątpliwość; przygniewiona pogardą wodzów, jedną jeszcze ma próbę do przebycia nieszczęśliwa: rozpacz i gniew swojego dziadka. Ale, czytelnicy spodziewają się naprzód, że skoro zniknęli wodzowie ze sceny, ukaże się zaraz występna żona.

Kiedy się zaśłona IV-go aktu podnosi, pół roku upłynęło od ostatnich wypadków. Bitwa pod Culloden została przegrana, wojsko pretendenta w rozsypce; lady Fingall, raniona śmiertelnie obok swego kochanka, umarła w góralskiej chacie, a on sam, ścigany przez Anglików, tuła się, szukając schronienia. Znajduje je w tej chatce, gdzie umarła nieszczęśliwa ofiara jego płochości, i gdzie młody pastuszek opowiada mu jakąś idylę o wydartem gniazdku dzierlatki — idylla, pięknie, czule napisana, ale przyznajmy, że nie w miejscu. Kiedy znużony wygnaniec udaje się na spoczynek, do przyległej izby, wchodzi lord Fingall. Młody pastuszek, wdaje się z nim w rozmowę i pokazuje mu medalion znaleziony, który zgubiła umarła pani (żona lorda) i Fingall ze zgrozą widzi portret pretendenta z napisem: „Kocham cię.“ Rzuca się, jak wściekły, z dobytym mieczem do drzwi izby, gdzie spoczywa książę, ale się zatrzymuje na progu. Rozumiecie dla czego?... *Gościńność szkocka!* To zbroj! to lotr! to łajdak! — powiada — ale jest pod moim dachem... I tego zawiele!.. A wychodząc naprzeciw żołnierzom, którzy otoczyli to ostatnie schronienie tułaczów mąż wspaniałomyślny. „Jam jest — lord Fingall poddaje się.“ Uprowadzają go, a on zwracając się mówi: „Spój spokojnie! Oto jak się mści Fingall.“

Na tem kończy się właściwie, naturalnie i artystycznie, dramat. Ale autor musiał się jeszcze rozrachować z góralką, której tak wielkie dał miejsce w swojej sztuce. Do tego posłużył akt V. Na morskiem wybrzeżu, samotnym i pustym, nieszczęsny pretendent oczekuje na przybycie floty francuskiej, posłanej, aby go ocalić. Nadchodzi żebrak z wnuczką. Karol Edward nie poznaje ich wcale i zgłodniały prosi o kawałek chleba. „Jam żebrak — odpowiada mu stary i nasze torby są próżne.“ A to wszystko, jedynie w tym celu, aby włożyć w usta Stuarta, że książę prosił żebraka o kawałek chleba!

Ale na koniec pamięć mu wraca — poznaje Angusa i jego wnuczkę. Żałuje za grzechy, i pięknym wierszem, żegna na zawsze, biedną, umierającą góralkę — bo raptem dziewczyna jest umierającą. Łódź przybija do brzegu; pretendent wsiada do niej — odjeżdża — góralka pada w objęcia dziadka, a ten, choć ślepy, składa ją do grobu, owiniętą szkockim sztandarem — co było do dowiedzenia.

Sztuka dobrze odegrana, przez biegłych artystów, otrzymała powodzenie szacunku — jak tu powiadają. Wiersze i język są rzeczywiście piękne; niektóre sceny dobrze zarysowane i poruszające, ale to nie dowodzi, ażeby dramat był choćby tylko *dramatem*. Jak mówiłem, jak może sądzić z treści czytelnik, długi, rozwlekły i nudny to utwór: zawiele gadania, a zamało czynności. Ale cóż to znaczy, dla akademika i dla sztuki, z której polityczna kabała nie ma nic do wzięcia? Będzie to grane, wobec coraz rzadziej, i rzadziej zapełnionych ławek aż pewnego pięknego wieczora zniknie z afiszów i — *requiescat in pace*.

Kronika działalności kobiecej.

— Towarzystwo Siostr Miłosierdzia Ś-go Wincentego a Paulo prosi osoby, zamierzające wydać obiady bezpłatne dla ubogich o porozumienie się z zarządem Towarzystwa, które pragnie brać w tem udział, ofiarując swoje usługi i znaczny zapas posiadanej żywności. Panie, które w roku zeszłym organizowały obiady bezpłatne, już tam złożyły przeznaczone na ten cel pieniądze. Objasnienie co do bliższych szczegółów otrzymać można w kancelaryi Towarzystwa, przy ulicy Ordynackiej N. 3, w godzinach, od 3-iej do 6-iej po południu.

— Ksiądz Juwenalis z Archangielska nadesłał za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego” podziękowanie dla pań Lublinianek, które kościół Archangielski zaopatrzyły w bieliznę kościelną. Panie te są: Antonina Kopeć, Helena Kuczyńska, Marcela Niezabitowska, Helena Borkowska, Justyna Szymańska, Marya Wilczyńska, Zofia Samsonowicz. Kościół archangielski obfituje już we wszystkie potrzebne mu do służby Bożej rekwizyty, i tylko braknie mu funduszy, tak na utrzymanie księdza, jak i organisty.

— Szkoła rzemiosł dla kobiet istniejąca od miesiąca Lipca przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (N. 27), pod przewodnictwem p. Alexandry Korycińskiej, posiada bardzo szeroki program, którego rozmaite działy otwierają się w miarę zebrania się uczennic. Oprócz zwykłych robót kobiecych, jak szycie i krój bielizny, krawiectwo, stroje, wyrób krawatów, szkoła przyczeka naukę: pończosznictwa i robót pończosznich, rękawicznictwa, szewstwa, koronkarstwa w jego niższych i wyższych gatunkach, prania koronek, haftu białego, oraz jedwabiami i złotem, szmuklerstwa, fryzjerstwa, kwaciarstwa zwykłego i w rozmaitych jego gałęziach, jako to: wyrobu kwiatów ze skóry, ze srebrnych i złotych drucików; rzeźbiarstwa, drzeworytnictwa, koszykarstwa, malarstwa na porcelanie, introligatorstwa, wyrabiania pudełek z drzewa, przedzenia jedwabiu, rycia na metalu, tokarstwa, retuszeryi heliominatur, zegarmistrzostwa, malowania na atłasie i pszczolnictwa. Wszystkie te przedmioty wykładają w szkole tylko osoby posiadające swiadectwo uzdolnienia. Opłata miesięczna od 5—10 rs. Między temi rozmaitemi rzemiosłami koszykarstwo, pozłotnictwo i rycie na metalu, stanowi u nas w pracy kobiecej względna nowość, zatem szkoła podaje tu pewne objaśnienia.

Koszykarstwo prócz wyrobu dużych koszy, nie przechodzi zwykłych sił zdrowej kobiety. Pół roku czasu wystarczą na wyuczenie się wyrobu kilkunastu gatunków. Materiały, to jest wiklina i kolorowa trzcina zagraniczna, nie są drogie: na koszyk sprzedający się od zł. 5 do 1 rs. kosztują one 10 do 20 groszy; przy pewnej już wprawie zrobić można koszyk taki w przeciągu 6-ciu godzin. Narzędzia potrzebne przy wyrobie kosztują około rs. 15—droższe owiele są formy, które w miarę tego, jakim jest koszyk, kosztują od kilku do kilkudziesięciu rs. za sztukę. Zarobek należycie wyuczonej osoby może być miesięcznie od 12 do 40 rs., licząc od sztuki. Fabryka zwykłych koszyków założona na wsi, nie wymaga wielkiego wkładu, lecz w mieście, jeżeli to ma być koszykarstwo ozdobne, potrzeba już na to znacznego kapitału. *Korrespondent Płocki* donosił niedawno, że właścianie stron tamtych zabierają się troskliwie do uprawy wierzby koszykarskiej, i tak we wsi Gołęb założyli na 250 morgach saporów nadwiślań-

skich plantacye wspomnianej wierzby i pragnąc wznieść u siebie fabrykę wyrobów koszykarskich zamierzają wysłać na naukę do Warszawy, lub do Krakowa kilku chłopców i dziewcząt, aby, wyuczywszy się rzemiosła, służyli potem wsi swojej za nauczycieli.

Pozłotnictwo odpowiada również siłom kobiety, a nawet przypaść ono powinno na dział jej pracy, ponieważ rzemiosło to wymaga głównie lekkiej ręki, cierpliwości i zręczności, które to przymioty rozwija przecież kobieta, przy wszystkich prawie kunsztowniejszych robotach igłą. We Francyi też kobiety oddawna trudnią się pozłotnictwem i u nas są już trzy pracownice pozłotnicze, w których kobiety pracują z powodzeniem. Po roku nauki już robotnica zarabiać może od 12 do 20 rs. miesięcznie, przy pozyskanej wprawie cyfra ta podnieść się może do 30 rs. na miesiąc, ale to już jest najwyższy zarobek jej w tem rzemiosle. Wydatki na założenie pracowni pozłotniczej nie są wielkie, gdyż tak złoto, jak srebro tu potrzebne można nabywać niewielkimi częściami, za złotych kilka. Narzędzia do roboty kosztują rs. 10, ale potrzebnym jest pewien zapas robót gotowych na pokaz. W czasie nauki koszt na złoto jest co najmniej rs. 30.

Rzeźbiarstwo łączy się korzystnie z zakładem pozłotniczym, wyrabiając dla niego tak z drzewa jak i z masy gipsowej rami i tym podobne ornamenta. Rzeźbiarstwo, nawet zwrócone do takiej tylko gałęzi ornamentyki, wymaga nauki rysunku i pewnych zdolności artystycznych. Posiadająca je osoba zarabiać już zaczyna po pół roku nauki początkowo po kilkanaście rs. na miesiąc. Przy potrzebnej wprawie i zdolnościach artystycznych zarobek jej dojść może do 60 rs. miesięcznie. Modelowanie z gipsu nie przechodzi bynajmniej sił kobiecych, rzeźbiarstwo zaś jest, jako praca fizyczna, lżejszem od drzeworytnictwa, ponieważ do robót pozłotniczych używa się zwykle drzewo miękkie.

Metalorytnictwo nie wymaga większych sił, niż drzeworytnictwo. Wyuczona należycie metalorytniczka przy zdolnościach artystycznych, oraz znajomości rysunku, zarabiać może dziennie od 1 rs. do 3. Po roku nauki już się zaczyna zarabiać. Zwykle wynagrodzenie pobiera się od sztuki, że zaś obstalunki bywają dawane do domów, tak, jak to ma miejsce, naprzykład w drzeworytnictwie, praca ta ma wysoką tę korzyść za sobą, że nie odrywa pracownicy od domu i rodziny. Obecnie jest jeszcze niewiele metalorytników w Warszawie, więc ta gałąź pracy może dać zajęcie korzystne. Przy zakładaniu pracowni metalorytniczej potrzeba tylko zapasu narzędzi, to jest ryłców i dłutek odpowiednich, oraz przedmiotów już wykonanych na okaz. Okazy wyrobione w szkole p. Korycińskiej przedstawiają się bardzo korzystnie. Obecnie jest tam uczennic metalorytnictwa 4.

— W Piotrkowie jedenaście wyuczonych w sztuce swojej koronczarek, przyjmuje zamówienia na wyrób koronek z nici, jedwabiu i wełny. Próbkę z oznaczeniem ceny i podaniem nazwiska wyrabiających je osób, łaskawie okazują przełożone tamtejszej wyższej szkole panien, W. W. Krzywickie.

— Wyrobem modnych dziś koronek wełnianych zajmuje się u nas całe miasteczko: Żelechów, Węgrów. Do Węgrowa przesłano w tych czasach z Warszawy wełny koronkarskiej za rs. 300. Wełna ta była sprowadzoną z zagranicy. My przecież posiadamy u siebie materiały surowy w najwyborniejszym gatunku.

— Na międzynarodowym kongresie więziennym w Rzymie, na którym delegat naszego Towarzystwa Osad Rolnych, sędzia Moldenhawer, pod-

obie, jak p. Stefan Godlewski, zajmowali zaszczytne miejsca, zasiadała znana czytelniczka naszego Lydya Poët Dr obojga praw, oraz dyplom adwokacki posiadająca Włoszka, rodem z Turynu. Była ona sprawozdawczynią z 3 sekcji kongressu; sprawozdanie swoje czytała i, jak to donosi p. Stefan Godlewski, była przytem bardzo wzruszona, że zaś jest młodą i bardzo ładną, że mimo swej uczoności nie utraciła wdzięku kobiecego, kobieciej skromności, zjednało jej to wielką sympatyą wszystkich kongresistów, którzy też obdarzyli ją rzesistami oklaskami i przyjęli jednomyślnie postawione przez nią postulaty, a mianowicie:

1) Aby więzień obu płci miał prawo wybierać sobie w niedzielę i święta takie pomiędzy postanowionych zajęć, jakie mu się podoba. II. Zajęciami świątecznymi powinny być w stosunku do okoliczności miejscowych: czytanie, muzyka, rysunki, drzeworytnictwo, udział w dobroczynnych uczynkach. III. Pożądaniem jest pozwolenie uczęszczania na wykłady w zakresie nauk moralnych, prawnych i innych, według życzenia więźnia i okoliczności miejscowych.—Taki głos kobiety, głos upominający się za cierpiącym, pragnący zdobyć dla niego miłosierdzie i ulgę, wiodącą go do poprawy—jest zawsze na miejscu i godzi mu się rozlegać wszędzie, i z wszelkiego rodzaju trybuny.

— Więzienie kobiece w Rzymie okazało się zwiedzającym je członkom kongressu nie dość racjonalnie urządzone; nie rozróżniono tam wcale największych zbrodniarek, na dożywotnie zamknięcie skazanych, od uwieczonych na krótko, za przestępstwo mniejszego znaczenia. Pracą uwieczonych jest głównie koronkarstwo. Utrzymanie ich jest łaskawe i w warunkach pożądanego dobrobytu.

— Papież zamierza zaliczyć Joannę d'Arc do świętych. Już Pius IX miał ten zamiar, ale względy polityczne wstrzymały jego wykonanie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

Tom IV-ty Wydania zbiorowego

PISM

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyszedł z druku, nakładem wydawcy *Bluszcza*, i zawiera:

Niektóre pisma bezimiennnej autorki.

Stary Dwór w Świerszczowej Woli, zdarzenie prawdziwe.

Białą Różę

Prenumerata na całe wydanie składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi:

W Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomu).

Z przesyłką pocztą za każdy tom liczy się 1 rs. 10 kop.

Nadsyłający od razu prenumeratę na wszystkie 5 tomów płacą tylko 5 rs.

TREŚĆ. Książki dla młodzieży i dzieci, przez Maryą Ilnicką. — Stara plebania, (poezya), przez J. J. — Złamana tarcza, Powieść, (dalszy ciąg). Nasze towarzystwa i salony, Odczyt, (dalszy ciąg), przez Piotra Jaxę Bykowskiego. — Róża (Arabeska), przekład z czeskiego Miriam'a. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — 22 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 4 Декабря 1885 года.

DODATEK DO BŁUSZCZU,

Nr 50.

Lalka w ubraniu szydełkową robotą.

Rycina Nr 11 w Blu. Nr 49.

Lalka 22 centim. wysokości mająca, o ruchomych oczach i członkach, ubrana w majteczki, spódniczkę, kaftanik i ubranko na głowie, z białej, zielonej, żółtej i niebieskiej gobelinowej włóczki. Każdą połowę majteczek zaczyna się od dołu białą włóczką 1 ścis. ocz. i na założeniu z 16 oczek kolej 1: 3 pow. ocz., 15 słup. w najbliższe 15 ocz., 1 ścis. ocz. w trzeciej z pierwszych 3 teje kolej. Kolej 2 i 3 tak jak 1, tylko należy przerobić obie nitki oczek. Ostatnie oczko drugiej połowy, należy przerobić z tem samem oczkiem tej połowy i razem połączywszy robi się jeszcze 4 koleje na wszystkich oczkach w około. Dolny brzeg majteczek, obrabia się jedną koleją, w której ciągle naprzemian robi się: 2 ścisłe oczka i 5 pow. ocz. w oczko znajdujące się pomiędzy dwoma słupkami, dwa słupki omijając. Spódniczka z ciemno-zielonej włóczki, robi się na założeniu z 48 ocz. Kolej 1: * 1 ścis. ocz. w najbliższe o., 3 ścis. ocz. w następne ocz., 1 ścis. ocz. w następne ocz., 1 ocz. ominąć i od * 11 razy powtórzyć. Kolej 2 (obok ostatniego oczka założenia, następne ocz. poprzedniej kolejki opuścić i te same 2 oczka w następnych kolejkach tak samo opuszczać należy, choć o tem wzmianki już nie będzie) * 1 ścis. ocz. o 1 następne ocz. przerobić, 3 ścis. ocz., 5 o. ścis. w następne 1 ścis. ocz. w następne ocz., 2 ocz. opuścić i od * 11 razy powtórzyć. Kolej 3: 2 ścis. ocz. w następne dwa, 5 ścis. ocz. o następne ocz. 2 ścis. ocz. w następne dwa ocz., 2 ocz. opuścić, od * 11 razy powtórzyć. Kolej 4 żółtą włóczką, * 3 ścis. ocz. o następne 3 ocz., które przed środkowem oczkiem pięciu poprzednich się znajduje, 3 ścisłe ocz. w następne 3 ścis. ocz. w najbliższe 3 ocz., 2 ocz. opuścić, od * 11 razy powtórzyć. Następnie 3 razy zmieniając 3 koleje zieloną włóczką i 1 kolej żółtą włóczką, tak jak poprzednia kolej, tylko w połowie każdej kolejki zieloną włóczką, należy pa-

ilość oczek za każdym powtórzeniem. Brzeg spódniczki należy obrócić rzędem ząbków białą włóczką, * 1 ścis. ocz. w najbliższe oczko zagięcia, 1 pow. ocz., 2 słupki w te same oczko, 1 pow. ocz. 1 ścis. ocz. w te same oczko, 1 pow. ocz., 3 ocz. ominąć, od * powtórzyć. Kaftanik robi się z włóczki niebieskiej, zaczynając od karoczek na założeniu z 8 oczek, 9 kolejki oczek ścisłych, od 2 kolejki zaczynając przez obie nitki każdego, przyczem zaczynając i kończąc co drugi rząd, należy 1 ocz. przybrać. W 10 kolejki 9 oczek należy dodać na część przodu, przerobić wszystkie oczka karoczek i znowu 9 oczek na drugi przód. Późem jednakowo przerabiać wszystkie oczka, aż do pachy, gdzie na środkowych 16 oczkach na plecach 7 rzędów przerobić. W przodach dla zrobienia wycięcia kwadratowego, pozostawia się 4 oczka z brzegu, a przerabia się 4 oczka tam i z powrotem 7 razy, poczem ostatnie oczko ostatniej kolejki łączy się z ostatnim oczkiem pleców. Cały kaftanik obrócić naokoło ścisłemi oczkami, w które się zapinają wszystkie końce włóczki. Na rękawek, zaczynając od wycięcia pachy na plecach, robi się 1 kolej z 8 ścis. ocz. Kolej 2: Po 1 ocz.

w dwa brzeżne przed pierwszą koleją, 8 ścis. ocz. w 8 brzeżnych pozostałych oczek pachy, zwyczajnie 9 kolejki i następnie zakończyć rękawek małymi łukowatemi ząbkami z białej włóczki; takie same ząbki robią się naokoło wycięcia szyi i przy dwóch przodach kaftaniczka. Ubranko na głowę zrobione jest z 3 pasków z włóczki, ozdobionych ułożoną w pukielki, jeden z żółtej, jeden z zielonej, jeden z niebieskiej, każdy zrobiony na założeniu z 4 oczek, tam i z powrotem, najbliższe ocz. opuścić, * na lewej stronie założyć wałeczek 3 c. obwodu mający + 2 razy naprzemian: włóczkę założyć na takową i 1 ścis. ocz., poczem wszystkie ocz. razem przeciągnąć, od + jeszcze 2 razy powtórzyć. robotę odwrócić, 3 ścis. ocz. w najbliższe 3 ocz., robotę odwrócić, od * 6 razy powtórzyć, przy dwóch ostatnich powtórzeniach tylko dwa pukielki i 2 ścis. ocz. pozostaje zrobić, opuszczając 1 ścisłe oczko.

Sukienka dla lalki szydełkową robotą.

Rycina Nr 16, w Blu. Nr 49.

Sukienka zrobiona na lalkę 40 cent. wysoką, niebieską i pasową hamburską włóczką, cała w prążki, zakończona zaś pikotami i wrobioną białą koronką przy szyi i rękawach, oraz przybrana szarfą z atlasowej wstążki, w miejscu gdzie się łączy stan ze spódniczką. Rozpoczyna się robota od prawej części pleców, na założeniu z 33 oczek. Kolej 1: 1 ocz. opuścić, 32 ścis. ocz. w tylną żyłkę każdego ocz. Następnie 20 kolejki z których 6 i 7, 8 i 9 są wsuniętemi kolejkami, pierwsze dwie, w 10 oczek dolnych drugie dwie w te same 10 i w następne 5 ocz. 6 kolejki. W 16 kolejki pozostawić na pachę 5 oczek i następnie przerabiać gładko. Kolej 23 rozpoczyna część przodu, a w 22 kolejki należało 12 oczek doroobić na pachę i ostatnie ocz. przerobić z brzeżnym oczkiem 15 kolejki, poczem gładko 23 do 25 kolejki, przed rozpoczęciem której ostatnie oczko przerobić z brzeżnym 14 kolejki. Kolej 26, 27, 28 i 29 są wsuniętemi kolejkami, z których pierwsze dwie w 10 oczek dolnych, drugie dwie w 15 poprzednich dolnych. W 30



Nr 1. Suknia balowa z „satin-merveilleux” i koronki. Opis odwr. str. tabl.

Nr 2. Suknia balowa z jedwabnej gazy i aksamitu. Opis odwr. str. tabl.

Nr 3. Suknia balowa z faile i jedwabnej gazy. Opis odwr. str. tabl.



Nr 8. Stanik do sukien wieczornych. Opis odwr. str. tabl.



Nr 6. Kołnierzyk z pa-piersnikiem z tiulu i koronki.



Nr 4. Kapelusz aksamitny obłożony futrem.



Nr 10 i 11. Wachlarze.

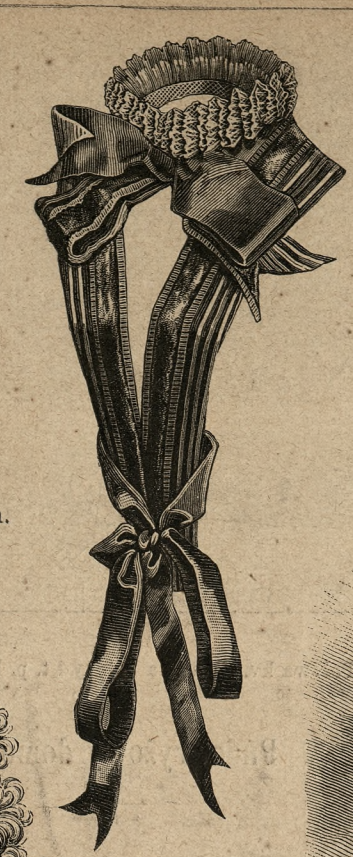


Nr 14. Sukienka dla panienek od 10 lat. Przód. (Do r. 17 w B. Nr 49). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 34-42.

Nr 15. Sukienka dla paniąki od 9 do 11 lat. Przód. (Do ryc. 18 w Blu. Nr 49).



Nr 5. Kapelusz aksamitny obłożony futrem.



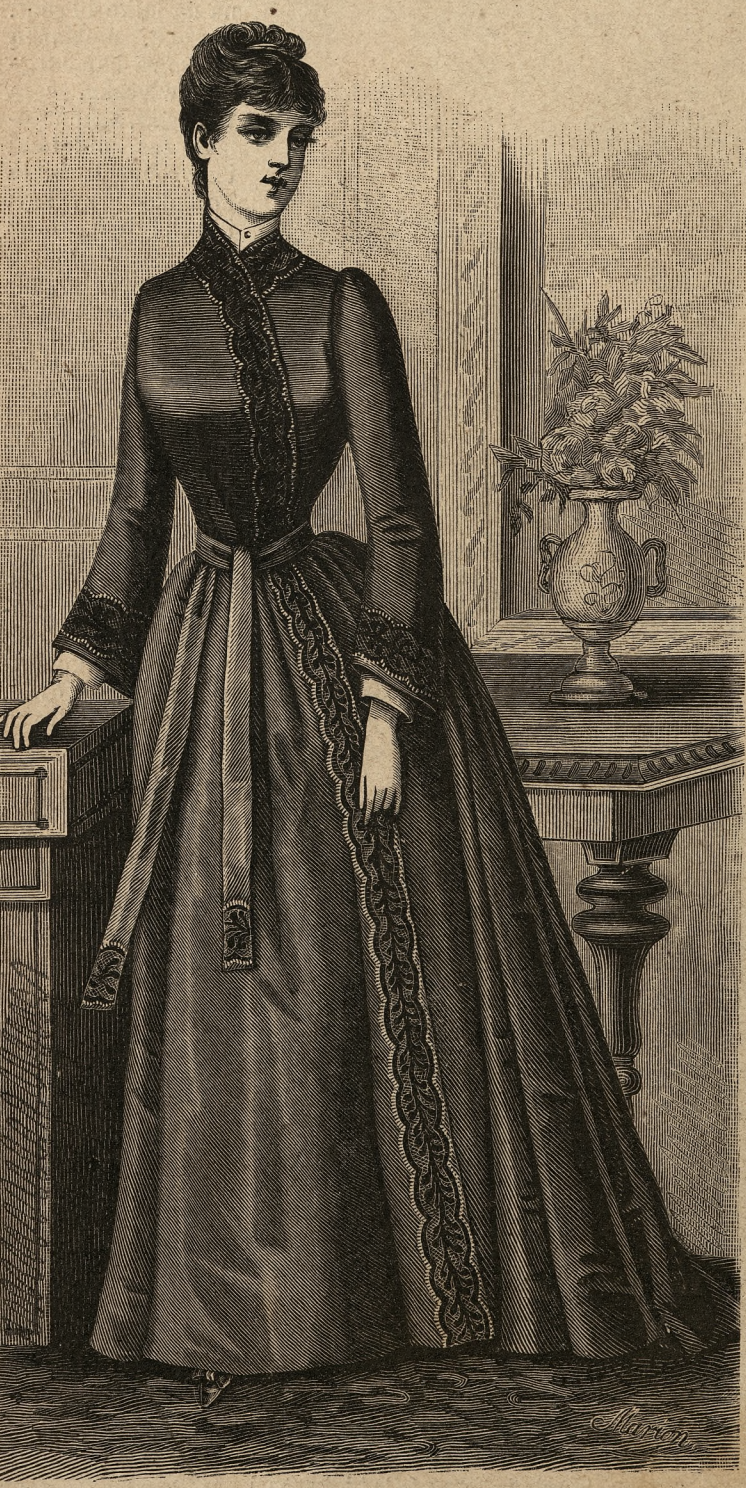
Nr 7. Przybranie staniczka z wstążek.



Nr 12 i 13. Wachlarze.



Nr 9. Stanik do sukien wieczornych. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 14-20.



Nr 16. Szafróczek sukienny. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 30-33.

kolei pozostawia się na ramię 7 ocz. górnych i przerabia 31 do 40 kolei. ciągle na tej samej ilości oczek, co 30 kolej. Kolej 40 stanowi środek przodu, od której w przeciwnym porządku należy drugą połowę roboty wykonać. Rękawek rozpocząć na założeniu z 15 ocz., 20 kolei, z których w 3 i 5 kolei należy przybrać po 2 oczka, w 17 i 19 kolei zaś zgubić po dwa, brzeżne oczka połączyć z lewej strony i wrobić rękaw do pachy. Spódniczkę rozpocząć na założeniu z 26 oczek, 96 kolei w ten sam sposób, zmieniając co 4 koleje kolor włóczki, (pąsową na niebieską i na odwrót), połączyć oczka brzeżne ze sobą i przyszyć do poprzednio zrobionego stanu. Dół spódniczki zakończy kolej pikotów, naprzemian: 1 ściśle oczko w najbliższy rowek, 1 pikot (to jest: 3 pow. ocz. i 1 ściśle oczko w pierwsze z tychże), także same pikoty na około szyi i rękawków; do zapięcia służą guziki.

Stojący koszyk do roboty przybrany haftem na pluszu.

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 49.

Podstawę koszyka stanowią połączone z sobą pręty topolowe, lakierowane na kolor brązu, na których umieszczony jest pleciony pozłacany koszyk, wewnątrz marszczonym atłasem koloru „fraise“ przybrany. Z wierzchu zaś dwoma trójkątami z pluszu koloru miedzi (60 centymetrów długości z prostego brzegu mającemi) na których powinien być aplikowany haft różno-kolorową filozelą na kanwie, gobelinowym sćięciem wykonany. Prócz tego zdobią koszyk bombelki z ciemno-pąsowej hamburgskiej włóczki, z jedwabiem koloru „fraise“ mieszanej. Takież same bombelki z kwastami, zdobią górne ucho stojącego koszyczka.



Nr 18. Płaszczki do teatru z ryału. Opis

tureckiego wełnianego odwr. str. tabl.

Nr 19. Sortie-de-bal z indyjskiego muślinu. Opis odwr. str. tabl.

Kapelusz z aksamitu obłożony futerkiem.

Rycina Nr 4.

Sztywne rondko tego kapelusza objęte jest wewnątrz aksamitem brązowym, obłożone zaś na około futerkiem z nurków. Kapatka z tyłu skośnie spadająca, ułożona jest na sztywnym tiulu w fałdy, z przodu zaś w kształcie dużej kokardy w środku, przewiązanej wstążką atłasową, modnego koloru, 7 cent. szeroką. Ta sama wstążka okala główkę.

Kapelusz aksamitny obłożony futerkiem.

Rycina Nr 5.

Fasonik kapelusza w kształcie toczka, obciągnięty aksamitem koloru palonej cegły, a podszyty jedwabną podszewką, obłożony jest na odwiniętym brzegu bobrami, tudzież przybrany z przodu wstążką atłasową, 9 i pół cent. szeroką koloru piaskowego i teje samej szerokości repsową wstążką w grube prążki, koloru palonej cegły. Między puklami znajdują się trzy małe główki zwierzęce z futra.

Kołnierzyk chusteczkowy z tiulu i koronki.

Rycina Nr 6.

Z angielskiego grubego tiulu ukrojony napiersnik 31 cent. długi, 28 centim. szeroki, ułożony w fałdy u góry do 5 cent., u dołu do dwóch cent., koronka podług ryciny z prawej strony gładko, z lewej w kontrafałdy, u dołu zaś wachlarzowato jest ułożona. Kokardy z gazowej



Nr 17. Okrycie z wigoniu. Krój i opis pier. str. tab. Nr I, fig. 1-6.

wstążki, 6 centim. szerokiej, zdobią kołnierzyk w pasie i przy szyi.

Przybranie stanika z wstążki.

Rycina Nr 7.

Przybranie staniczka z wstążki, 6 i pół centim. szerokiej w kolorowe paseczki, z wrobionym pasem pluszu ciemno-pasowego, oraz wąskiej wstążeczki repsowej z atłasową podszewką. Wstążki pluszowej potrzeba 110 cent., w środku zeszywa się na dwa cent. szeroka klinikowa fałdka, poczem brzegi wstążki przeprowadzają się na przód, gdzie w pasie połączone są związaniem z wąskiej wstążeczki. Riuszka z koronki przyszyta do opaski z wstążki i zakończona podszyją sutą kórkardą z pluszowej wstążki i gładkiej uzupełnia przybrania.

Wachlarze.

Rycina Nr 10 do 13.

Wachlarz pod ryciną 10 zrobiony jest z popielatego błyszczącego drzewa i atlasu popielatego, oprawionego na wysokości 14 centymetrów, przybrany puszką tego samego koloru na 10 centymetrów szeroko, sznury i kwasty jedwabne.

Wachlarz ryciny 11 przedstawia malowidło, wykonane na żółtym atlasie, oprawione w obsadę z żółtego lakierowanego drzewa, sznury i kwasty z żółtego jedwabiu.

Wachlarz pod ryciną 12 jest świeżego fasonu, składa się z szyldkretowej podstawy gładkiej i rzeźbionej, oraz z piór strusich. Połączenie podstawy i piór przykryte jest ozdobą w kształcie podkowy, z błyszczących piór koliberek. Sznurowy i kwasty jedwabne dopełniają wachlarza.

Podstawa wachlarza ryciny 13, zrobiona jest z drzewa koloru skórzanego, dwa główne skrzydła: wierzchnie i spodnie, naśladują rzemienie i przepięte są stalową klamrą, górną część wachlarza stanowi malowidło, na żółtym atlasie wykonane. Sznurowy i kwasty jedwabne.

Sukienka dla pań od 9 do 11 lat.

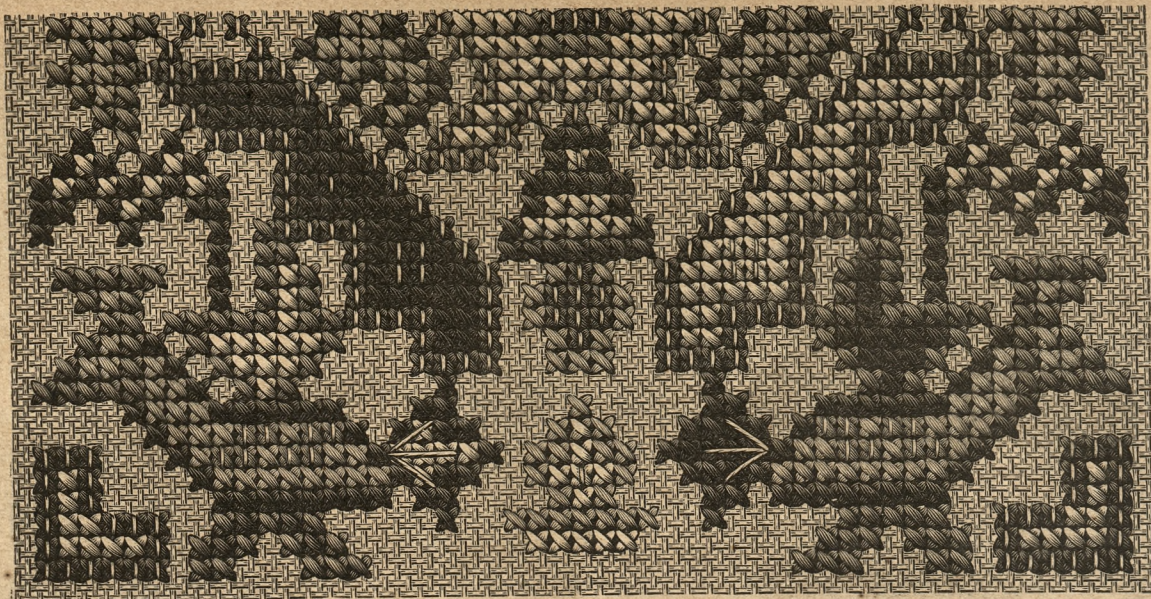
Rycina Nr 15.

Sukienka z brązowego dyagonału, z kamizelką z zielonego sukienka, z takimiż mankietami i kołnierzem; tiunika upięta z przodu skośnie, z tyłu ułożona w węzeł, na wierzchu stanika przypięta. Staniczek w kształcie żakieta, zapięty z boku na duże guziki i trzy patki zachodzące na lewą stronę.

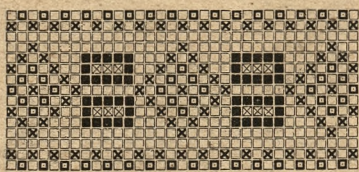
Półowa kwadratu na kapy, serwety i t. p. krzyżową robotą.

Rycina Nr 20.

Kwadrat na kanwie zwanej „antique“, koloru surowego jedwabiu, przerabianej złotą nitką, haftowany filozelą różnokolorową, ścięciem krzyżowym, przez dwie nitki wzdłuż i w szersz. Na środkową figurę używa się filozeli oliwkowego koloru, w dwóch cieniach, na następną figurę różowej, niebieskiej i oliwkowej; ukośne zaś figury haftują się różową, ciemno-pasową, oraz pawiego koloru filozelą. Prócz tego przyozdabia się haft złotą nitką, ścięciem pocztowym.



Nr 20. Półowa kwadratu na kołdry i t. p. krzyżowym ścięciem.



Objaśnienie znaków: ■ ciemno-brązowy, □ jasno-brązowy, □ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, □ tło.

Nr 21. Szlaczek do ręczników, fartuszków dziecięcych, sukienek i t. p. ścięciem krzyżowym.

Puder ryżowy domowy.

Funt ryżu najlepszego moczyć przez cztery tygodnie w miękkiej wodzie, codziennie zmieniając wodę. Po czterech tygodniach odlać ten ryż na przetak, a gdy dobrze osiąknie, włożyć w woreczek podłużny, obszerny, z nowo-

go płótna średniej grubości i zmaglować w nim mocno na zupełnie miazgę. Wziąć sito jedwabne i siać przez nie zmaglowany ryż, po trochu biorąc, co i tak długo bardzo trwa — lepiej nawet, kto może pożyczyc sobie w aptece słoja aptekarskiego, z wpuszczonym jedwabnym woreczkiem, do siania proszków, który uderzając o ściany słoja, prędzej wydobywa przesiany puder. Pozostały grubszy ryż, czy to na sitku, czy w woreczku, przetłuc jeszcze raz w porcelanowym moździerzu i znowu przesiewać przez jedwabne sito. Tak przesiany puder, jeszcze nie jest dość miazki i puszysty, do używania na twarz. Otóż tak przygotowany przesiać jeszcze raz przez rzadki pół-batyst i dopiero wtedy do użycia jest zdatnym i delikatniejszym od paryżkiego. Chcąc mu nadać zapach róży lub fiołka, należy po pierwszym przesianiu przez jedwabne sitko, wziąć łyżeczkę pudru na porcelanową salaterkę, wpuścić w nią dwie krople olejku — nigdy więcej i rozcierać wałkiem porcelanowym lub łyżką drewnianą, dodając ciągle po łyżeczce pudru, aż wszystek się z olejkiem wymieszają — wtedy dopiero przesiać przez batyst, a doprawdy równie miłego, dobrego i higienicznego, żaden zakład perfum nie sprzedaje — bo z taką starannością nie przysposabia.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Legumina z fasoli bardzo dobra i tania.

Pół kwarty szablatego grochu ugotować na sypko w wodzie, jak zwykle, odlewając pierwszą wodę a nalewając drugą ciepłą pilnując, aby się nie rozgotował. Gdy dobrze miękki odlać wodę, a groch przetrzeć przez rzadkie sito. Następnie wbić w ten rozarty groch 6 żółtek po jednemu i 12 łyżek cukru, kładąc po jednym żółtku i po pół łyżki cukru, wsypać odrobinę gałki muszkatołowej i odrobinę soli, ubić pianę z tych sześciu białek i dobierać po trochu pianę do masy grochowej, ciągle wierząc — gdy wszystka pianą wyjdzie, włożyć całą masę do wysmarowanego

masłem, wysypanego bułką lub mąką — co wszystko jedno — rondelka i wstawić do miernie gorącego pieca na pół godziny. Wyrzuciwszy na półmisek, posypać cukrem, a kto chce, zrobić do tej leguminy sos śmietankowy, czyli kwaterek gotującej się śmietanki słodkiej, zaprawić trzema dobrze rozbitymi, z czubatą łyżką cukru, żółtkami i odrobiną wanilii, lejąc śmietankę w żółtka powoli, żeby się nie zwarzyły — rozgrzać na trzonie mieszając, aby zgęstło, ale się nie gotowało i polać leguminy.

Jak należy przechowywać konfitury i konserwy.

(Odpowiedź Pani S. W. K. Poznańskie — Rogozów).

Konfitury powinny być pokryte bibułką angielską i stać w suchym miejscu, nigdy w piwnicy, ani w wilgotnej spiżarni, a nie będą pleśnieć, jeżeli są dosmarzone i słoiki są pełne.

Co do konserwów czyli kompotów, które również

nigdy w wilgoci stać nie powinny, to choć się pokaze pleśń na powierzchni, pod pecherzem, nie należy jej zbierać, gdyż ona nie psuje kompotu, a przy użyciu po zdjęciu pleśni, kompot okaże się jak najlepszy — jest to tylko dowodem, iż za wiele powietrza zostało między pustą przestrzenią. Gdy zaś fermentują, co miewa miejsce gdy są niedogotowane — należy wstawić słoiki w garnek z zimną wodą, gotować od zagotowania wody w garnku czy kociołku minut 20 najmniej i nie wyjmować słoików, aż zupełnie wystygną, a pecherz wkleśnie, to jest zapadnie się; jest to najpewniejszą oznaką, że kompot ugotowany. Radzę pani używać tylko 11 edycji przepisów.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Czernina z kaczek z kluseczkami.
2. Potrawa z kaczek z ryżem.
3. Cielęcina z rożną z sałatą.
4. Omlet z pączowym sosem.

Wydawnictwa L. Cwierzakiewicz.

1. Kolęda dla gospodyń. Kalendarz na rok 1886 (rok 11-ty). Cena 50 kop.
2. Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla kobiet. Cena rsr. 1, kop. 20.
3. 365 Obiadów, (edycja 13) w oprawie rs. 1 kop. 25.
4. Jedyne praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzoną została medalem srebrnym na Wystawie przemysłowej (wydanie 11). Cena rsr. 1 kop. 10.
5. Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami. Cena rsr. 1.
6. Poradnik porządku. Cena kop. 50.